Nr. 41. Lwów — Środa dnia 21 Lutego. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna „ „ złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 8 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Eleonory Król. | Nykyfora M.
Jutro: św. Piotra Kat. | Charalampya

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 5
Zachód „ 5 „ 24

Długość dnia g. 10 m. 19
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 lutego.

Dziś zbiera się parlament włoski, któremu gabinet Crispiego przedstawi receptę na uniwersalne lekarstwo, mające kraj uzdrowić. Z jakich ingredyencyi będzie się składała ta mikstura, dotychczas nie wiadomo. Dzienniki rzymskie podają o niej tylko to, co i bez nich każdy mógł powiedzieć, więc, że program rządowy zawiera przywrócenie równowagi w budżecie, uregulowanie obiegu banknotów, wypuszczanych — jak wiadomo — przez kilka koncesyonowanych banków, którym parę tygodni temu, dla uratowania ich od bankructwa, pozwolono emitować banknotów na 125 milionów lir więcej, niż określono w koncesyach; dalej zmniejszenie długu państwowego i wreszcie rozwiązanie kwestyi agrarnej w ten sposób, iżby nie było bezrolnych chłopów, tworzących najburzliwszy żywioł. Ale jak to wszystko rząd zamierza wykonać, o tem nie ma żadnej wzmianki w rzymskich dziennikach. Dodają one tylko charakterystyczną uwagę: „Rząd niewzruszenie stoi przy tym programie i w działalności swej wcale nie będzie się krępował postawą parlamentu.“

Jest to całkiem coś nowego w państwie, w którem rządzi parlament. Metodę takich rządów obrócono na wspak, zwykle bowiem tak jest, że jeśli izba nie zgadza się z gabinetem, to ministeryum podaje się do dymisyi; teraz ma być odwrotnie, ale bez rozwiązania parlamentu, bo toby się na nic nie zdało. Każdy deputowany, każdy rozsądny polityk włoski uznaje potrzebę oszczędności i nowych podatków, ale nikt za tem głosować nie będzie przez wzgląd na swą popularność u wyborców. Pozostaje tedy rzeczywiście nie oglądać się na parlament. Taki stary rewolucyonista jak Crispi ma niezawodnie pewną sympatyę, rodzaj słabostki do środków, których z powodzeniem używał od wczesnej młodości i może nieraz powtarza w duchu słowa starego jakobina Vauquelina z „Safandułów“ Sardou: „Ech! nie ma, jak rewolucyjne środki!“ Wszakże na parę tygodni przed objęciem rządów przemawiał on w izbie za koniecznością nowych podatków, a kiedy mu przerwano okrzykami: „Naród przestanie płacić!“ — on uderzył pięścią o stół, roziskrzonym wzrokiem spojrzał na deputowanych i huknął: „Musi płacić!“

Skoro musi, to będzie. Wszystko zależy od siły, która wywrze ten przymus. Wypadki na Sycylii i w Massa-Carrara pokazały, że na wojsko można jeszcze liczyć, a więc przymus może być bardzo wielki, bo zresztą minęły już te czasy, kiedy armie nie były ani tak liczne, ani tak straszliwie uzbrojone, że ruchawki miały jakieś szanse powodzenia. Ale, jak Talleyrand powiedział „na bagnecie można się oprzeć, lecz usiąść na nim niepodobna,“ Włochy zaś właśnie usiąść, ustalić się potrzebują. Jeśli tedy crispiowska „silna ręka“ nie wyciągnie państwowego wozu z trzęsawiska na grunt twardy i równy, to jego środki rewolucyjne zachęcą tylko innych, poczem rozkład pójdzie szybko. Włochy są państwem nowem, które się jeszcze nie zrosło; tradycya dawnych królestw wiekowych, w których żyło się tanio i stosunkowo wygodnie, jeszcze istnieje w pamięci; te królestwa dopiero szpilkami są pospinane w polityczną całość, a przy takiem położeniu rzeczy ogromnie wiele znaczy popularność panującego, ona jedynie wstrzymuje odśrodkowe dążenia, bo zresztą wszystko inne, co popychało naród do jedności państwowej, albo już mu spowszedniało, albo nawet stanęło kością w gardle. Wiktor Emanuel był nadzwyczajnie popularny, syn jego także, zwłaszcza z początku, ale potem bez winy począł tracić miłość narodu i w końcu już nawet piękna królowa Małgorzata przestała budzić zapał. Nie winien temu nikt z ludzi, winno położenie coraz gorsze, warunki życia coraz trudniejsze, konieczne wymagania państwa coraz większe, słowem to wszystko, co jest naturalnem następstwem zjednoczenia politycznego, które dość łatwo było przeprowadzić, ale stale bronić i utrzymywać ogromnie trudno. Jest to zupełnie to samo, co dla człowieka średnio zamożnego zbudować pałac: na koszta budowy i urządzenie wystarczy mu pieniędzy, ale potem utrzymanie gmachu pochłonie całą fortunę i zgotuje ruinę. Tak zjednoczone Włochy musiały z początku naciągnąć do ostateczności strunę podatkową, zabrały prawem kaduka dobra kościelne, potem powszechno-katolickie fundusze Propagandy Wiary, wreszcie zrobiły długu cztery miliardy. Wszystko to bez wojny, bez nieszczęść zewnętrznych, jedynie na utrzymanie gmachu państwowego.

Ale jak nieraz kredytorowie podtrzymują bankruta w nadziei, że z czasem położenie jego się poprawi i oni odbiorą swe kapitały, tak i ten dług włoski cztero-miliardowy jest ostatnią dla Włoch deską zbawienia. Niemieccy kapitaliści mają włoskiej renty za 3 miliardy 600 milionów lir. Gdyby państwo upadło, oniby te pieniądze stracili, więc muszą ratować bankruta. Oprócz zaś tego polityczny interes Niemiec każe im podtrzymywać sojusznika, bo gdy go zabraknie, równowaga międzymocarstwowa będzie zwichnięta. Więc Niemcy biorą w opiekę finansowość włoską, chcą złoty strumień puścić na Appeniński półwysep, ożywić wszelką przedsiębiorczość, rozwinąć handel, podnieść różne kopalnie i tak zwiększyć dochody państwowe o tyle, iżby wystarczyły na domowe potrzeby i na odsetki dla nich. Ale, po skandalach Panamino, nie wierzą w ścisłość rachunkową i kupiecką sumienność Włochów, więc nie dają im pieniędzy, ale sami zakładają w Rzymie kolosalny bank, na który już subskrybowano w Berlinie 20 milionów marek gotówką. Jest to na początek bardzo dużo i rzeczywiście może nowe życie wlać we Włochy, ale one na nieszczęście zaczynają podejrzliwem okiem spoglądać na niemieckiego opiekuna. Ambicya nie pozwala Włochom głośno mówić, iż z tej opieki wyniknąć może coś podobnego do kurateli politycznej, ale myślą o tem i właśnie londyńskie dzienniki notują, że w inteligentnych warstwach ludności budzi się obawa, aby Włochy nie popadły w taką niewolę finansową, jak Turcya.

Więc jakież jest wyjście i w ogóle czy jest ono? Nie ma tak trudnego położenia, z którego naród nie zdołałby się podnieść poświęceniem i ofiarnością na rzecz ojczyzny. Lecz gdzie dziś szukać ofiarności, kiedy na czele zasad moralnych postawiono egoizm, gdzie szukać poświęcenia, które płynie tylko z religijnego uczucia, a nad wyziębieniem jego pracowano tak długo i skutecznie, że z niego pozostało już bardzo mało!

Z Brukseli donoszą, że rządy europejskie poufnie zaproponowały belgijskiemu gabinetowi, aby urzędowo wystąpił z propozycyą zwołania kongresu, któryby obmyślił metodę wspólnego działania mocarstw przeciw anarchii. Myśl takiego kongresu wyłoniła się w Hiszpanii zaraz po barcelońskim zamachu w teatrze Lyceo; potem znów ją podniesiono po zbrodni Vaillanta; ale za każdym razem nie było między mocarstwami zgody na wspólną akcyę, mianowicie nie chciały jej Anglia i Niemcy, — pierwsza z zasady, że Brytanii nic do kontynentu, drugie dlatego, że niemieckie ustawy wrzekomo dostatecznie chronią państwo od anarchicznych zamachów. Dopiero zamierzone podłożenie bomby dynamitowej przez anarchistę Bourdina pod sławne obserwatoryum astronomiczne w Greenwich, przyczem w skutek przedwczesnego wybuchu zginął sam zbrodniarz, co ogromnie utrudniło śledztwo, skłoniło rząd angielski do zgodzenia się na kongres. Wówczas i Niemcy oświadczyły, że chętnie wezmą udział we wspólnych naradach. Donoszą o tem z Brukseli z tym dodatkiem, że się mocarstwa zastrzegły, iż postanowienia kongresu będą obowiązywały w takim jeno razie, jeśli uchwały jego dadzą się zastosować do ustaw i organizacyi państwowej. Jak się zdaje, idzie przedewszystkiem o to, aby anarchiści nie byli uważani za przestępców politycznych, lecz za zwykłych zbrodniarzy, których państwa są obowiązane wydawać.

Po zamachu anarchistów londyńskich na obserwatoryum w Greenwich, policya angielska wzięła się energicznie do wytropienia tych zbrodniarzy. Wiedziała ona, że w jakimś szynku istnieje „klub autonomiczny“, do którego należą bardzo podejrzane indywidua, przeważnie cudzoziemcy. Więc w piątek wieczorem silny oddział policyi ukrył się w szynkowni i gdy się zebrali członkowie „klubu“, aresztował ich, przyczem niektórzy gwałtownie się bronili. Potem zaczęło się śledztwo, zrewidowano mieszkania uwięzionych i znaleziono materye wybuchowe, puste bomby, ręczne prasy drukarskie, liczną korespondencyę z całym światem i paki z manifestem rewolucyjnym, który miał być wysłany do Francyi, a zaczynał się od słów: „Mort à Carnot!“

Prezesem klubu był jakiś majętny człowiek William Morris, zwaryowany poeta, angielska kopia francuskiego półgłówka Clovisa Hugues. Członkami zaś byli ludzie różnych narodowości, głównie Niemcy, Francuzi i Anglicy, ze Słowian tylko Czesi, których podobno kilku się znajdowało. Śledztwo wykazało, że plan zamachu na Greenwich ułożono w tym “klubie autonomicznym“.

Sejmy austryackie.

Piszą nam z Wiednia:

Sejmy krajowe, wyjąwszy dolnoaustryacki, skończyły swą sesyę. Była ona dłuższą, niż w dawniejszych latach. Zawdzięczamy to koalicyi, która zabezpiecza prawidłowe załatwienie spraw Rady Państwa, a tem samem umożebniła wyznaczenie sejmom krajowym dłuższego okresu. We wszystkich sejmach krajowych zaznaczyła się zupełna harmonia między stronnictwami sprzymierzonemi. W żadnym nie wywiązała się pomiędzy niemi walka. Gdzie była walka, to zawsze tylko pomiędzy stronnictwami należącemi do koalicyi a stronnictwami, należącemi do kontrkoalicyi. Najnamiętniej rozprawiano w sejmie tutejszym. Ale te spory pomiędzy antysemitami a liberalną większością sejmową, przeważnie na polu skandalów osobistych, stanowią specyalność miejscową, która nie może oddziałać na wielką politykę monarchii i też żadną miarą nie wpłynie na konstelacyę w Radzie Państwa. Ani jednym, ani drugim z poważnionych braci wiedeńczyków nie uda się narzucić Izbie poselskiej swych lokalnych rywalizacyi, jako normy. Organa przeciwne koalicyi usiłowały nadać wielkie znaczenie uchwale komisyi wojskowej miniaturowego sejmu vorarlbergskiego, w sprawie organizacyi obrony krajowej. Przedewszystkiem trzeba zaznaczyć, że dwaj konserwatywni posłowie tej prowincyi nie należą do koalicyi, lecz od dawna w Izbie poselskiej, jak Lienbacher i Zallinger, zajmują stanowisko niezawisłych. A nadto spór, wywołany ową uchwałą, nie dotyczy stosunku pomiędzy sejmem vorarlbergskim a gabinetem austryackim, lecz kompetencyi wspólnego ministra wojny. Oprócz sejmu vorarlbergskiego, przed normalnym końcem sesyi zamknięty został także dalmacki, i to w chwili, gdy zamierzał przystąpić do dyskusyi nad adresem, zaproponowanym przez ks. Bianchiniego, a domagającym się wcielenia tej prowincyi do Chorwacyi. Jak wiadomo, posłowie dalmaccy w Izbie poselskiej należą do koalicyi słowiańskiej. Nikt zatem po nich nie spodziewał się, że w sejmie zaniechają demonstracyi opozycyjnej, zresztą pustej, bo nikt lepiej od nich samych nie wie, że odłączenie Dalmacyi od Austryi i połączenie jej z Chorwacyą jest na teraz naiwną mrzonką.

We wszystkich innych sejmach sesya minęła bez wszelkich zatargów. W lublańskim z oba stron dobitnie podniesiono konieczność zgody: tak profesor Szuklje w imieniu umiarkowanych Słoweńców, jako też poseł Schwegel w imieniu Niemców zarówno potępili ową radykalną agitacyę, która wywołała votum nieufności dla tyle zasłużonego hr. Hohenwarta. Nawet w sejmach: morawskim i szląskim, — tu, głównie dzięki taktowi zastępcy marszałka krajowego, kardynała Koppa, — zaznaczyło się pewne zbliżenie stronnictw, chociaż Morawianie należą do kontrkoalicyi. Jeżeli sobie przypomnimy, że zeszłoroczna sesya sejmu czeskiego skończyła się 17-go maja potworną burdą i że pp. Gregr, Herold itd. w Radzie Państwa zapowiadali występy jeszcze ostrzejsze, to ubiegłą sessyę nazwać można jako zadziwiająco spokojną. Widocznie Młodoczesi zaczynają rozumieć, że nie przebiją muru głową. Wobec zaznaczającej się coraz silniej koalicyi konserwatystów z stronnictwem niemieckiem, ruch młodoczeski traci doniosłość polityczną. Byłaby to chwila najodpowiedniejsza dla resurekcyi stronnictwa staroczeskiego. Na nieszczęście, jak dowodzi mowa p. Riegera, stronnictwo to i teraz nie ma odwagi stanąć wyraźnie po stronie bądź to koalicyi, bądź opozycyi, a zatem też pozbawia się wszelkiego wpływu politycznego. To pewna, że ubiegła sesya sejmów krajowych wyraźnie wzmocniła pozycyę większości parlamentarnej i gabinetu koalicyjnego.

KORESPONDENCYE.

Londyn 10 lutego.

Gibraltar, to jeden z najdrażliwszych punktów dumy narodowej Anglików, którzy czujnie śledzą wszelkie zdania na ten temat. Tak i teraz, chociaż pytanie, czy Gladstone ustąpi czy nie ustąpi, przyćmiewało przez tydzień wszelkie inne kwestye, dzienniki angielskie znalazły czas i sposobność do irytacyi na hiszpańską prasę. Poruszyła ona bowiem kwestyę, którą od czasu do czasu niby zardzewiały miecz wyciąga ze zbrojowni, jakby to Anglię zmusić, aby odprzedała Hiszpanii Gibraltar? Otóż najnowszy projekt rozwiązania tej kwestyi, wylęgły w publicystyce hiszpańskiej, domaga się, aby obwarowano pobliskie okolice i w ten sposób osłabiono znaczenie warowni gibraltarskiej. — A więc na łańcuchu gór Sierra Carbanere, przy ujściu rzeki Balmoner, powstać powinny silne fortyfikacye, a baterye dział tam umieszczonych, zmusiłyby w danym razie do milczenia artyleryę Gibraltaru. Tak miałoby wyglądać osaczenie fortecy angielskiej od strony lądu, a od morza proponują Hiszpanie zamknąć wejście do cieśniny Gibraltarskiej przez obwarowanie wysepki Punta Mala. Zrobiwszy to wszystko, Hiszpania zniszczyłaby znaczenie Gibraltaru i nie potrzebowałaby poniżać się do układów z Anglią, która sama zaproponowałaby Hiszpanii odstąpienie jej niepotrzebnego wówczas kawałka ziemi. Ale aby to przeprowadzić, musiałaby Hiszpania sprawić sobie wyborne, dalekonośne działa i wydać olbrzymie sumy na fortyfikacye a ponieważ kasa jej jest bardzo chuda, więc cały ów projekt to tylko p i u m d e s i d e r i u m lub co najwyżej dobry środek do irytowania Anglii, który celu swego nie chybia.

Jak zawsze w pierwszych miesiącach roku, tak i teraz, ciągle jeszcze pojawiają się rozmaite wydania statystyczne, sprawozdania, wykazy policyjne i t. p., mające stanowić niejako rachunek sumienia roku ubiegłego. Statystyka wprawdzie to rzecz martwa, materyał ciężki, który dopiero w rękach bardzo wprawnych nabiera znaczenia i rzuca ciekawe światło na rzecz. Dobrze jednakże czasem zajrzeć do dat statystycznych, przez samą choćby ciekawość. Oto statystyka przestępstw w Anglii wykazuje ogromny i nieustanny wzrost pijaństwa. Naturalnie najwięcej dotknięte są pijaństwem miasta, a wśród miast jednem z pierwszych pod tym smutnym względem ma być Liverpool, gdzie alkoholizm w

Pierwszy teoretyk anarchizmu.

W zachodniej Europie anarchizm stał się główną kwestyą dzienną. We Francyi, w Hiszpanii i Włoszech od kilku miesięcy powtarzają się straszliwe zamachy. Świeże symptomata tej endemicznej psychozy pojawiły się także w Anglii. W Paryżu najtragiczniejsze i najdowcipniejsze prądy stają się modą i — karykaturą. Przed 100 laty baby z robótkami — „*les tricoteuses de Robespierre*“ — zasiadały w około gilotyny. W r. 1727 najdowcipniejsi i najsceptyczniejsi ludzie w świecie, Paryżanie, odbywali tłumnie pielgrzymki do grobu jansenisty Franciszka Parisa, wpadali w konwulsye i przypisywali mu siłę cudotwórczą. Gdy rząd położył tym pielgrzymkom koniec, na bramie cmentarza zjawił się napis:

„*De par le roi: Défense à Dieu*
de faire de miracles en ce lieu“.

Wtedy dopisywał przynajmniej jeszcze dowcip. Trudno dopatrzyć go się pomiędzy tymi nowoczesnymi k o n w u l s j o n i s t a m i, którzy przez dni kilka odbywali pielgrzymki do grobu anarchisty Vaillanta na cmentarzu w Ivry: wykwintne panie w karetach, uczeni teoretycy anarchizmu, socyaliści pod przewodnictwem członków parlamentu, etc. W gruncie rzeczy zawsze to samo: obłęd, karykatura, moda. Oby chociaż także w tym razie sprawdziło się zdanie wieszcza naszego, że „Paryż częstą mody o d m i a n ą się chlubi“.

Takie wyrzutki społeczeństwa, jak Ravachol-Koenigstein i Vaillant, dla których zamach anarchiczny jest tylko pretekstem samobójstwa, nie zmuszałyby nas wcale zastanawiać się nad genezą i teoryami anarchizmu. Ale niewątpliwie pomiędzy anarchistami znajdują się indywidua, nie należące po prostu do klasy łupieżców, złodziei i oszustów, lecz popchnięte na drogę zbrodni fałszywą doktryną. Do tej klasy musimy zaliczyć ostatniego na teraz anarchistę Henry'ego, który w 17-tym roku życia zł żył popis dojrzałości, potem pracował na utrzymanie brata i matki. Odpowiedzialność za moralne wykolejenie takich osób niewątpliwie spada na teorye i teoretyków anarchizmu.

Jako takich teoretyków wymieniają teraz najczęściej Proudhona, Bakunina i Krapotkina, Elizeusza Réclus'a, którego bratanek Paweł z teoryą łączy praktykę i uchodzi obecnie jako ukryta głowa anarchistów francuskich, angielskiego poetę Williama Morris'a, prezesa świeżo odkrytego w Londynie anarchistycznego klubu „Autonomy“ i innych.

Nie ubliżając złowrogim „zasługom“ tych ludzi około szerzenia ohydnych teoryi anarchizmu, trzeba skonstatować, że oni wszyscy są tylko uczniami Jana Jakóba Rousseau. Oto właściwy ojciec teoryi anarchizmu! On pierwszy wygłosił je w tym olśniewającym stylu, któremu nie dorównał żaden inny sofista.

Sformułował je przypadkiem, z przekory, z spekulacyi literackiej, jako śmiały paradoks, do którego się potem stale przyznawał, jak aktor do wdzięcznej roli, ale który niestety inni wzięli na seryo, i który dziś odzywa się donośnie wybuchami dynamitowemi. W swych „Wyznaniach“ Rousseau opowiada patetycznie, jak przechadzając się w jesieni r. 1749 po lesie Vincennes, przypadkiem wejrzał do zabranego ze sobą numeru „Mercure de France“, w którym uderzył go konkurs rozpisany przez akademię Dijonu na pytanie: „Si le rétablissement des sciences et des arts a contribué à épurer les moeurs?“ Przeczytawszy to, ujrzał nagle „inny świat, stał się innym człowiekiem“ i od razu miał gotową całą odpowiedź — przeczącą.

Natomiast Marmontel na podstawie opowiadań Diderota, którego Rousseau owego dnia odwiedził w więzieniu Vincennes, tak wyjaśnia genezę pierwszego głośnego występu Rousseau'a na polu piśmiennictwa: Pewnego dnia na przechadzce Rousseau oświadczył Diderotowi, że zamierza odpowiedzieć na zapytanie akademii Dijonu. — W jakim duchu? — zapytał Diderot. — Potakująco, odparł Rousseau. „C'est le pont aux ânes, — wtrącił Diderot; wszyscy ludzie mierni pójdą tą drogą; przeciwna droga filozofii i wymowie otwiera pole nowe, bogate i urodzajne“. Namyśliwszy się chwilę, Rousseau odpowiedział: „Masz słuszność, pójdę za twoją radą.“

Tak powstał oparty na śmiałym paradoksie, że cywilizacya zgubiła ludzkość, „Discours“, którym nieznany i już niemłody Rousseau nagle w literackim i uczonym świecie, żądnym silnych, choćby wywołanych podejrzanemi środkami wzruszeń, zdobył sławę a raczej hałaśliwy i teatralny rozgłos. Dopóki sztuka nie wydoskonaliła naszych zwyczajów i naszego języka, obyczaje nasze były wiejskie, ale naturalne. Z cywilizacyą przyszły wszelkie wady. Jednostajna i przewrotna grzeczność ukrywa same podejrzenia, obawy, zawiści, chłód, nienawiść i zdradę... Powszechne zepsucie jest skutkiem wskrzeszenia sztuk i nauk... Zbytek, rozwiązłość i niewolnictwo były naturalną karą naszych dumnych usiłowań porzucenia szczęśliwej ignorancyi, w której nas umieściła odwieczna Mądrość.... Astronomia powstała z zabobonu, wymowa z ambicyi, nienawiści, pochlebstwa, kłamstwa; geometrya z chciwości, fizyka z czczej ciekawości; wszystkie a nawet etyka z dumy ludzkiej... Nauki i sztuki zawdzięczają swój początek naszym wadom... Na odwrót obniżają one przymioty fizyczne i moralne... Sprowadzają złowrogą nierówność pomiędzy ludźmi, podnosząc talenta a poniżając cnotę... Nie zwiększyły w niczem naszego szczęścia a skaziły obyczaje...

Że takie paradoksy mogły uzyskać nagrodę wszechnicy i nagle zwrócić uwagę całej Francyi na nieznanego autora i okryć go rzadką sławą, trudno dziś pojąć. Ale łatwo się tłumaczy, że zdobywszy tak tanim kosztem rozgłos, Rousseau postępował dalej tą samą drogą. I tak w r. 1753, znowu w odpowiedzi na konkursowe pytanie akademii dijońskiej ogłosił rozprawę: „O początkach i podstawach nierówności pomiędzy ludźmi“ („Sur l'origine et les fondements de l'inégalité parmi les hommes“, którą słusznie nazwano romansem o „l' homme sauvage“, a który dziś możemy nazwać „kodeksem anarchizmu“.

W pierwostanie — powiada autor — człowiek pod dębem głód zaspakaja żołędziami, pragnienie u pobliskiego strumyka, zasypia pod tem samem drzewem, które mu dostarczyło pokarmu; i oto zaspokoił wszystkie swoje potrzeby. Jest zdrów i silny, bo choroby są tylko skutkiem zbytku lenistwa jednych, nadmiaru pracy drugich, zbyt wyszukanych pokarmów bogatych itd. W pierwostanie człowiek nie potrzebuje ani lekarstw, ani lekarzy. Posiadając przyrodzoną litość, *l'homme sauvage* tem samem posiada podstawę wszelkich cnót... Wszelkie zbrodnie, zabójstwa, wojny, klęski powstały owego dnia, gdy pierwszy człowiek „ogrodziwszy część ziemi, śmiał oświadczyć *ceci est à moi* i znalazł ludzi dość prostych, aby mu uwierzyli“. Wtedy stał się on (wprowadzając zasadę własności) „prawdziwym założycielem społeczeństwa cywilnego“ *). Oto owo „sławne“ zdanie, które od stu lat powtarzają wszyscy teoretycy socyalizmu i anarchizmu, które Proudhon ubrał w aforyzm „la propriété c'est le vol“, a które nie jest niczem innem, jak oczywistym sofizmatem. Rousseau nie posiadał żadnego pojęcia o obowiązku pracy i dlatego też nie mógł zrozumieć indywidualnego prawa do owoców pracy. A nadto okupacya pewnej części ziemi, nie należącej do nikogo albo do wszystkich, nie tworzy bynajmniej jedynego ani głównego źródła i tytułu własności.

Z własnością powstał podział na ubogich i bogaczy, stąd powszechna wojna, która ułatwiła bogaczom przedstawić utworzenie państwa ubogim i słabym jako rzecz dla nich korzystną, gdy na prawdę chodziło im tylko o zabezpieczenie swej przemocy. I wtedy taki podstępny bogacz rzekł: „Połączmy się, aby słabych zabezpieczyć przed uciskiem, powstrzymać ambitnych i każdemu zapewnić, co mu się należy. Ustanówmy prawa sprawiedliwości i pokoju, obowiązujące wszystkich, nie stanowiące wyjątku dla nikogo i wyrównywające poniekąd kaprys fortuny, skoro w równej mierze potężnego i słabego poddają wzajemnym obowiązkom. Słowem, zamiast walczyć pomiędzy sobą, połączmy nasze siły w najwyższej władzy, któraby nami rządziła według mądrych praw, broniła wszystkich członków naszego związku, odpychała spólnych wrogów i utrzymywała nas w wiecznej zgodzie“.

Podobna rada uwiodła ludzi prostych. „Wszyscy poddali się spiesznie więzom w mniemaniu, że zabezpieczą swą wolność, bo mając dosyć rozumu, aby czuć korzyści organizacyi państwowej, nie mieli dosyć doświadczenia, aby przewidzieć niebezpieczeństwa; ci, którzy zdolni byli przewidzieć nadużycia, właśnie zamierzali z nich skorzystać... Taki jest początek społeczeństwa i praw, które ujarzmiły słabych, wzmocniły bogatych, zniweczyły pierwotną wolność, na zawsze ustaliły zasadę własności i nierówności, śmiałe przywłaszczenie podniosły do godności prawa i na korzyść garstki ambitnych na zawsze przykuły ludzkość do pracy, niewoli i nędzy“.

Tak Rousseau powstanie państwa tłomaczy jako proste oszustwo, którego garstka zręcznych szarlatanów dopuściła się względem ludzkości.

Rousseau sam oświadczył, że żadne inne jego pismo śmiałością pomysłu nie przewyższyło rozprawy „o nierówności pomiędzy ludźmi“ — i słusznie, bo niepodobna wygłosić zuchwalszego paradoksu i nikt też dotąd nie zdołał tego uczynić. Gdyby istotnie cały ład społeczny i państwowy zasadzał się na takiem prostem oszustwie, natenczas byłoby prawem a nawet obowiązkiem wysadzić go w powietrze, byle dostawało sił ku temu. Ten logiczny wniosek z teoryi „filozofa genewskiego“, wyprowadzają teraźniejsi teoretycy anarchizmu i bohaterowie „propagandy czynu“.

Pominąwszy fakt, że ani własność, ani państwo nie powstały w ten sposób, który gwoli szumnym deklamacjom wymyślił Rousseau, czemże jest ten człowiek pierwowstanu nibyto złotej epoki, w której nie było jeszcze własności, ani państwa? Na prawdę nie jest to wcale człowiek, lecz zwierzę, a wszystko, co go wznosi po nad zwierzę, właściwie sprzeciwia się jego naturze i przeznaczeniu. Na ten też poziom zwierzęcy powracają pojętni uczniowie anarchicznej teoryi Rousseau'a. Nie ludzki, lecz zwierzęcy instynkt zaznacza się w tych zamachach dynamitowych, już nie na pewne osoby, lecz na bezimienne i nieznane mordercom gromady ludzi, gmachy bez wszelkiego znaczenia politycznego, jak obserwatoryum astronomiczne i t. d.

Że wobec takich zwierzęcych zapędów p a n d e s t r u k c y i społeczeństwo ostatecznie traci cierpliwość, kogoż to zadziwi? Henry tylko dzięki obronie strażników uszedł śmierci, którą mu zagrażało oburzenie tłumu, a bardzo zresztą demokratyczny „Rappel“ zauważył: „Ścięcie na gilotynie wydaje się zbyt powolną procedurą. Henry zaledwo uszedł doraźnej śmierci. Byle się wydarzył nowy wybuch, a publiczne wzburzenie stanie się tak gwałtownem, że strażnicy nie zdołają powstrzymać tłumu od doraźnego ukarania zbrodniarza!“ Zaiste ponura perspektywa nowoczesnego *bellum omnium contra omnes!*

Ale może w wyższym stopniu, niż te wyrzutki społeczeństwa, nędzniki i półgłówki, które rzucają bomby dynamitowe, na powszechne oburzenie i potępienie zasługują ci uczeni i bogaci teoretycy anarchizmu, którzy bądź to z pustego zamiłowania w paradoksach, bądź z próżności, z nienawiści i mściwości, bądź wskutek anormalnej konstrukcyi mózgu nadużywają słowa i pióra, tudzież swobód obywatelskich, aby hordy zdziczałych indywiduów szczuć przeciwko swym bliźnim i rodakom. Wolność nauki z pewnością jest bardzo piękną rzeczą. Ale czy społeczeństwo jest zobowiązane, pozwolić na bezkarne szerzenie teoryi, opartych na samych sofizmatach a wydawających tak straszne owoce? — na to trudno się zgodzić.

* *
*

*) „De l'inegalité“. II część.

zastraszający sposób szerzy się wśród dzieci nawet. Policya Liwerpolska przytrzymała n. p. w r. 1893 na ulicach miasta 2378 dzieci pijanych, z tego 113 nie miało jeszcze lat dziesięciu!

Oprócz rozmaitych względów moralnej natury, a nawet przed niemi, nie da się zaprzeczyć, że powodem pijaństwa, grasującego głównie wśród klas najuboższych, jest nędza. W Londynie mnóstwo jest zawsze robotników bez zajęcia, a rozruchy i starcia z policyą są rzeczą całkiem powszednią. W tych dniach mieliśmy znowu bardzo ciekawe niepokoje robotnicze. Oto tłumy żydowskich robotników, pozostających w Londynie bez zajęcia, wynędzniałe i niezadowolnione ze swych rabinów, urządziły demonstracyę. Komitet robotniczy żydowski wezwał swych współwyznawców, aby się zebrali pod wieżą londyńską i ztamtąd udali się w pochodzie przez Trafalgar Square ku City, ale policya lorda majora zaprotestowała przeciw tej manifestacyi, obawiając się, że zgłodniałe i zdemoralizowane nędzą tłumy gotowe rzucić się po drodze na bogate sklepy i wszcząć groźne zamieszki. Pozwolono więc pochodowi iść tylko wybrzeżem Tamizy. Tłumy doszedłszy do katedry św. Pawła usiłowały ją opanować i policya musiała z nimi zaciętą walkę stoczyć. Robotnicy tłumaczyli potem, iż dlatego uderzyli na katedrę, że po pierwsze, chcieli sobie zdobyć w niej schronienie, a powtóre, pragnęli pokarać się pastorowi za obojętność, z jaką traktuje rabinów ich sprawy i nędzę niesłychaną. Policya jednakże przeszkodziła wykonaniu tego oryginalnego planu.

Cała niemal ta masa żydowstwa nie mająca pracy przychodzi tu z zagranicy, niemal wyłącznie z Rosyi. I w ogóle za blaskiem jaki roztacza po całym świecie przemysł angielski, ściągają do Anglii tłumy obcych robotników, z nadzieją, że w tej wielkiej spiżarni, za lada uwagą Anglii i oni się pożywią, że w tym wielkim warsztacie i dla nich znajdzie się robota. Stąd na ulicach Londynu wśród snujących się robotników najrozmaitsze słyszeć można języki.

Polaków-robotników tu także nie braknie, a chociaż są biedni, jak wszyscy przybysze, może nawet jeszcze biedniejsi, stanowią przecież wśród nich żywioł dodatni, więcej niż inni zasługując na uznanie. Anglicy chwalą ich uczciwość, chociaż daleko im do wprawy i umiejętności pracy już nietylko robotników angielskich, ale którychkolwiek innych.

Z garstki naszych rodaków rzuconych na wyspy brytyjskie, z tej garstki przeważnie wielkich biedaków, ci chyba tylko unikną wynarodowienia, którzy mają zamiar powrócić do kraju. Jednak można ich ochronić przynajmniej od zepsucia i od utraty wiary. Ale tu tylko żywe słowo kapłana, który mówi do nich ojczystym językiem, jest koniecznem. Tymczasem niestety dotąd Polacy rozproszeni, rozbici moralnie, nie mieli w Londynie księdza swego, ani swego kościoła. Dopiero teraz to się zmieniać zaczyna, bo ksiądz Bronikowski, porzuciwszy bardzo korzystne miejsce gdzieindziej, przybył do Londynu na niepewne losy.

W samym Londynie znajduje się dziś do tysiąca naszych rodaków niemówiących zgoła po angielsku, języka nieznających innego prócz polskiego lub litewskiego. Katolicy pobożni nieraz się skarżą, mówiąc: „Przychodzą do nas ludzie, Polacy i Litwini, chcą się spowiadać lub dzieci do chrztu przynoszą, a ani sposób zrozumieć co mówią, ani sposób dać się przez nich zrozumieć!" I ludzie ci, Polacy i L... odchodzą od księdza poprostu zgorszeni, że on ich nie rozumie.

Dziś jednak dzięki przedewszystkiem niezmordowanym zabiegom naszej rodaczki p. Pace, pomocy jej małżonka, Anglika, gorliwego katolika i nam serdecznie sprzyjającego, dzięki wreszcie prawdziwie apostolskiemu poświęceniu się na wielkie trudy, troski, a nawet na niedostatek księdza Bronikowskiego — założono misyę polską w Londynie.

To jednak dopiero początek i to bardzo trudny początek. Ksiądz Bronikowski jest na stanowisku, ale jakeśmy rzekli, walczyć musi z wielkim niedostatkiem, nędzą prawie, a przecież jaki taki grosz, który ma, odkłada na fundusz dla urządzenia kapliczki bo i tej dotychczas jeszcze Polacy w Londynie nie mają. Wszyscy parafianie są z jak największem uwielbieniem dla księdza Bronikowskiego, władza kościelna ma dla niego tylko słowa uznania, a ci, których zabiegom powiodło się utworzyć misyę polską w Londynie aby mu ułatwić zadanie otwarli składkę na jej utrzymanie. Dary zbiera pani Pace (99 Holland Road, Kemsington, London W.). Ale trzy tysiące Polaków w Anglii to ludzie biedni — bardzo biedni, cd ust sobie odejmując zdołają rocznie bardzo drobną sumkę tylko złożyć. Do Anglików udać się prawie niepodobna w obec coraz gwałtowniejszej ich nienawiści do cudzoziemców, przybywających tu bez grosza i pracujących potem we fabrykach za pół ceny robotnika angielskiego. Od protestantów na każdy sposób pomoc nie przyjdzie. Katolicy zaś angielscy nie mogą dopomódz, nieliczni są bowiem i mają mnóstwo własnych i irlandzkich potrzeb do zaspokojenia, a w Anglii żaden kościół katolicki nie ma nic po za tem, czego mu właśni jego nie dadzą parafianie. Znajduje się może ten i ów, co da kilka szylingów, ale z tego źródła nie można oczekiwać więcej na 100 do 120 zł. rocznie.

Z tak więc małych dochodów nikt w Londynie, chociby to nawet był kapłan katolicki, niewiedzieć jak pełen ducha poświęcenia, nie może długo wyżyć, a w dodatku utrzymać jeszcze kapliczki. Mimo to nie tracimy nadziei, bo spodziewamy się, że rodacy z kraju pospieszą z datkami i umożliwią nam słuchanie słowa Bożego w ojczystym języku.

W obecnej porze teatra londyńskie, zwłaszcza niesprzyjające poważnej sztuce, cieszą się wielkim napływem publiczności. Ale najbardziej odwiedzany jest gmach „Olympic" gdzie odtworzono obecnie Konstantynopol ze wszystkiemi jego wspaniałościami i właściwościami. Jest to coś niby panorama, niby teatr z baletem a niby wystawa archeologiczna i etnograficzna. Takie odtwarzanie miast dalekie położonych lub znanych miast ale z przed paru wieków, nie jest nowością. Na wystawie paryskiej odtworzono n. p. więzienie dawnej Bastylii, a na wystawie muzycznej w Wiedniu a potem w Chicago paradował „Alt-Wien". Jednak takie widowiska z największą wspaniałością urządzane są tutaj. Już przed dwoma laty stworzono w gmachu „Olimpic" istny cud, na wielką skalę zbudowano wśród wody i malowniczego płótna Wenecyę do złudzenia naśladowaną. Tamto przedsiębiorstwo przyniosło olbrzymie dochody, sprytni więc przedsiębiorcy poszli dalej w tym kierunku i powołali do życia Konstantynopol.

Nad wyraz świetnie i umiejętnie wyzyskano wszystkie efekta. Widz ma przed sobą wielkie zwierciadło wody a nad niem piętrzą się gmachy, ścielą się place i uliczki które noszą pompatyczne nazwy ulic: Stefana — Valdy — Pera i Galaty. Są nawet na nich sklepy, w których sprzedają mnóstwo tureckich i niietureckich wyrobów, ludzie ubrani w miejscowe stroje. Są meczety, bazary, kawiarnie, jest wieża Galaty, są minarety. Po wodzie, misternie sporządzonej tak, że wydaje się niezmiernie głęboką, ale dającej złudzenie wodnej, sunie się cały rój kaików, przewożących publiczność z jednego wybrzeża na drugie; jest nawet port, pełen wschodniego życia i gwaru. Najciekawszym zakątkiem jest grota tysiąca i jednej kolumn. Nie ma ich bezwątpienia tyle, ale niepodobna zdać sobie sprawy z prawdziwej ich liczby. Gdy kaik, wsuwając się z pod długiej ciemnej galeryi, wpływa pod sklepienie ze stalaktytów, tajemniczo oświetlonej przez ukryte elektryczne lampy, a gdy na przedzie widzi się mnóstwo słupów niknących rzędami się wznoszących, wrażenie jest istotnie żywe i zadawalniające. Wchodzi się do domów urządzonych na sposób turecki, zwiedza się sale haremów, gdzie piękne huryski witają gościa powabnym uśmiechem. Jest także pałac Arabskich Nocy o grupach plastycznych, których prawdziwi artyści rzeźbiarze wykonać się nie wzdragali. Jednak więcej niż zwiedzanie tych wszystkich osobliwości i ściąga publiczność wielkie widowisko choreograficzne. Odbywa się ono na olbrzymiej scenie, oddzielonej zwierciadłem wód od piętrzącego się amfiteatru dla kilku tysięcy widzów. Niepodobieństwo opowiedzieć treści tego widowiska, kreśli ono, jak się zdaje, przygody angielskiego książęcia w jego podróżach, a uwieńczone wypadkami w Konstantynopolu. Po angielskim epizodzie wstępnym, następuje hiszpański, a nakoniec czysto wschodni. Niepodobna opisać ani wspaniałości dekoracyi, ani różnobarwnych i bogatych strojów, niezwykłego tutaj smaku i harmonii, ani chórów, co śpiewają, ani olbrzymiej armii baletnic. Jest się oślepionym, oszołomionym. A co za procesya i karawany na koniach i wielbłądach, w lektykach i palankinach, na łodziach i tryremach! Co za sceny malownicze, jak rynek z niewolnicami na sprzedaż, albo odtwarzanie historycznych postaci, jak Kleopatry, Teodory, Salomona etc. Nie ma chyba wątpliwości, że dalej, że wyżej umiejętność dekoratorstwa iść nie może.

Proces anarchistów.

W Wiedniu wczoraj rozpoczął się przed sądem przysięgłych proces kilkunastu anarchistów. Ostatni taki proces odbył się w r. 1886 i to przeciwko kółku anarchistów, którzy zamierzali podłożyć ogień na przedmieściach, następnie, korzystając z popłochu, wtargnąć do środka miasta. W listopadzie r. 1884 stawali przed sądem malarz pokojów Buchmann i spólnicy, w których pomieszkaniu na przedmieściu Neulerchenfeld odkryto tajną drukarnię, pamflety, zawierające zdradę stanu, i całe archiwum anarchistów. W rok przedtem wydarzyły się morderstwa, popełnione przez anarchistów Stellmachera i Kammerera, które sprowadziły stan wyjątkowy dla Wiednia i Dolnej Austryi, zniesiony dopiero w r. 1891.

Najnowsza faza anarchizmu wiedeńskiego rozpoczyna się na wiosnę r. 1892. Podczas trzeciego walnego zjazdu socyalnej demokracyi w Wiedniu 5—7 czerwca 1892, od głównego obozu socyalistycznego odłączyła się frakcya „niezawisłych," potępiająca zbyt „centralistyczną" organizacyę socyalistów, jakoteż ich obstawanie przy środkach nibyto legalnych. Frakcya ta przyznała się do „teoretycznego anarchizmu", Ale nie wszyscy poprzestali na teoryi. Frakcya bowiem niezawisłych wydała owych zwolenników propagandy czynu, którzy wczoraj stanęli przed kratkami wiedeńskiego sądu. Główni oskarżeni, 30-letni pomocnik stolarski Franciszek Haspel, urodzony w Gracu, i 31-letni pomocnik stolarski Stefan Hahnel, urodzony w Czechach, nie zjawiając się na żadnych publicznych zebraniach, nie zwracając na siebie uwagi policyi, po cichu w swem pomieszkaniu na 3-ciem piętrze przy Siebenbrunnenstrasse w V cyrkule na ręcznej drukarni sporządzali pamflety anarchiczne i przygotowywali zamach dynamitowy.

Dnia 22 września r. z. policya uwięziła ich i w wymienionem mieszkaniu znalazła całe laboratoryum anarchiczne, bomby, dynamit, rewolwery etc., ukryte po części w kanapie, po części w tajnych szufladach. Zabrano także korespondencyę, świadczącą o związkach wiedeńskich anarchistów z owym anarchicznym klubem londyńskim „Autonomia", na którego czele stoi bogaty poeta angielski Morris i w którym temi dniami policya angielska odbyła rewizyę. Inni oskarżeni, niemal wyłącznie Czesi, pomiędzy nimi znany z procesu Omladiny Modraczek, należą do stronnictwa niezawisłych. O ile oni byli uwiadomieni o ostatnich celach dwóch naczelników spisku, wykaże dopiero proces. Pomiędzy niezawisłymi a urzędową socyalną demokracyą dra Adlera, dra Ellbogena i tym podobnych socyalistów z ambicyi, toczą się od r. 1892 na zgromadzeniach i w prasie zacięte spory. Dostarcza to socyalistom wygodnego pretekstu wyparcia się wszelkiej odpowiedzialności za występki anarchistów. Na prawdę obie frakcye z równą zaciętością, chociaż różnymi środkami, zwalczają historyczny ustrój społeczny. Z okazyi ostatniego zamachu w Paryżu, wiedeński organ socyalistów *Arbeiter Zeitung* w numerze, który nie uległ konfiskacie, oświadcza, że takie zamachy są równie „bestyalne", jak „bestyalnymi" są teraźniejsze stosunki społeczne! Oczywiście takie potępienie zamachów anarchicznych, stawiające na równi zbrodniarzy i ich ofiary, równa się niemal pochwale. Oskarżeni, którzy wczoraj stanęli przed sądem, są to niemal wyłącznie robotnicy dojrzałego wieku 30 do 50 lat, po części żonaci, którzy aż do chwili swego uwięzienia chodzili do pracy. Proces odbywa się z wykluczeniem jawności, ale jednak powinien poniekąd wyjaśnić agitacye anarchizmu w Austryi.

KRONIKA.

Lwów 20 lutego.

Mianowania. Rada szkolna krajowa mianowała zastępcami nauczycieli w szkole realnej w Krakowie Marcelego Maternowskiego i Szczęsnego Tobiczyka, zatwierdziła w zawodzie nauczycielskim Jacka Zielińskiego w gimnazyum w Jarosławiu i mianowała nauczycielami szkół ludowych: Ludwika Krogulskiego w Książnicach, Jana Jaskułowskiego w Bortnikach, Antoniego Smendę w Tarnowicy Polnej, Annę Biedrzycką w Ottynii, Szczęsnego Hanusza, Emeryka Bogusiewicza i Teofilę Rożańską w Tłumaczu, Wojciecha Skowrońskiego w Cmolasie, Jakóba Wawrę w Zborowicach, Jana Zabawkę w Gliniku Maryampolskim, Franciszka Sikorskiego w Rzepienniku Biskupim, Ferdynanda Paska w Josefsdorfie, Maryę Drożdżównę w Chabówce, Bronisława Łobodę w Gawłowie Starym, Zofię Karlińską w Woli Batorskiej, Bronisława Kulińskiego w Iwaczowie Dolnym, Sabinę Locsównę, Józefę Janinę Twardowską, Wilhelminę Leitnerównę, Józefę Studzińską, Wandę Tertilównę i Stanisławę Teiseyre w Tarnopolu; Józefa Tarczyńskiego w Jarosławiu, Bronisława Tustanowskiego w Kurowicach, Karolinę Totowską, Rozalię Grabowską i Wincentę Berwidównę w Dolinie, Łukasza Spolskiego w Rzeczycy, Rozalię Sokołowską w Bolechowie, Ludwika Wnękowskiego w Kotowej Woli, Józefa Kraussa w Brzozie Królewskiej, Andrzeja Selwę w Jarocinie, Zofię Machalską w Nisku, Józefa Tyrałę w Jaworniku, Stefanię Nożankę w Myślenicach, Felicyę Ulieniecką w Horodence, Leontynę Lityńską i Helenę Kozłowską w Ustrzykach Dolnych, Józefa Deckera w Baligrodzie, Joannę Ostafińską i Kamilę Des Loges w Przemyślanach, ks. Juliana Jaremkiewicza nauczycielem religii gr. katol. w 5-klasowej szkole męskiej w Jaworowie, Bazylego Podleśniuka w Żukowie, Jana Helfera w Jezupolu, Emilię Kumanowską i Annę Litwinowiczównę, Michała Nadachowskiego i Kazimierza Hollendera w Stanisławowie, ks. Teodora Jaremę i ks. Emila Ko.mosza nauczycielami religii gr. kat. w Przemyślu, Mikołaja Bodnara w Wielkich Oczach, Michała Worobca w Jażowie Starym, Teodora Skaleckiego w Bóbrce, Michała Kronenberga w Królówce.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Tłumaczu, z grupy większych posiadłości, rozpisało Namiestnictwo na dzień 30go marca rb.

Ze sfer adwokackich. Dr. Konstanty Lewicki, adwokat we Lwowie, mianowany został substytutem zmarłego niedawno adwokata dra Jakóba Lilla.

Z Koła literacko-artystycznego we Lwowie. We czwartek dnia 22go b. m. mówić będzie p. dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański „O Jokaju i wpływie prac jego na społeczeństwo węgierskie". Wstęp wolny. Początek o godz. 7 wieczór.

O pośle Barwińskim jedno z polskich pism lwowskich doniosło, że gdy wszedł w sobotę do Sejmu, jako nowo wybrany poseł sejmowy, wszyscy posłowie ruscy ostentacyjnie opuścili salę. W sprawie tej p. Barwiński nadesłał do owego pisma następujące urzędowe sprostowanie:

„Proszę uprzejmie sprostować wiadomość o wrzekomem demonstracyjnem wyjściu posłów ruskich po mojem przybyciu do sali sejmowej. Rzecz miała się tak, że wszedłem do sali sejmowej w chwili, gdy posłowie ruscy obradowali w jednej ze sal komisyjnych nad sprawą połączenia obydwu klubów (Rożankowskiego i Romańczuka), nie było ich zatem w sali, gdym wszedł. Z poważaniem *Aleksander Barwiński.*"

My dodamy, iż doniesienie owego dziennika w istocie było zupełnie fałszywem, bo, gdy p. Barwiński wszedł do sali sejmowej nie było w niej ani jednego Rusina. P. Barwiński przywitał się więc tylko z posłami polskimi. Gdy po chwili weszli do sali Rusini, ani p. Barwiński od nich, ani oni od niego wcale nie uciekali, owszem p Barwiński przystąpił do nich, przywitał się szczerze z pp. Sawczakiem, Hamorakiem, Teliszewskim, Rożankowskim, Kowalskim i Romańczukiem, a następnie podszedł ku ks. metropolicie i serdecznie się z nim ucałował w oba policzki.

Chrabąszcze w lutym. Z Pruchnika donoszą nam pod datą 19 b. m., że w okolicy tamtejszej pojawiły się chrabąszcze majowe. Jednego z nich, który całkiem swobodnie mimo zimowej aury latał w powietrzu, złapały dzieci i przechowują go, żywiąc listkami kwiatów pokojowych. Korespondent nasz dodaje, że w obec tak wczesnego pojawienia się u nas chrabąszczy, wniosek posła Franciszka Jędrzejowicza o tępieniu tych szkodników będzie w rezultatach swoich zbawiennym dla rolników.

Nowa poczta. Z dniem 1 marca wejdzie w życie nowy urząd pocztowy w Wiszniowie koło Bukaczowiec dla gmin i obszarów dworskich w Wiszniowie, Wandolinie i Łukawcu.

Zaraza wśród drobiu szerzy się gwałtownie w pow. brzeżańskim we wsiach położonych między Pomorzanami a Narajowem. We wsiach tych ginie dziennie po 50 sztuk kur i innego drobiu. Włościanie są zrozpaczeni, gdyż nie znają przyczyny choroby i nie umieją zarazie zapobiedz a dochodem ze sprzedaży jaj opędzali wszystkie swe wydatki.

Napad na plebanię W nocy z dnia 11 na 12 b. m., na plebanię w Ćmielowie w Królestwie, zamieszkaną przez ks. proboszcza Rokickiego, 60-letniego staruszka, jego siostrę już w podeszłym wieku i służbę, napadła banda uzbrojonych złoczyńców. Ustawiwszy dokoła domu kilku towarzyszy na czatach, reszta opryszków, dostawszy się do wnętrza, wnet powiązała postronkami siostrę proboszcza i służbę. Widocznie słabo skrępowana staruszka zdołała wkrótce uwolnić z więzów i wołała o pomoc. Łotrzy jednak w okamgnieniu powalili ją na łóżko i poduszkami udusili. Następnie trupa wraz z powiązaną służbą wrzucili do piwnicy i tam zamknęli. Załatwiwszy się w ten sposób, dotarli do pokoju, w którym spał proboszcz, nakryli mu głowę futrem i wymierzywszy kilkanaście razów, wymogli od niego wskazówkę, gdzie ma schowane pieniądze. Splądrowawszy wszystko, zabrali 3.000 rubli listami zastawnymi i 800 rubli gotowizną. Nareszcie po spożyciu wina i przekąsek, znajdujących się w kredensie, wkrótce umknęli niepostrzeżenie. Złoczyńców do tej pory nie ujęto.

Sprawa o los. Z Krakowa donoszą, że niebawem przed sądem przysięgłych roztrząsana tam będzie zajmująca sprawa o wygraną 25.000 złr., jaka padła przy ciągnieniu losów krakowskich 2-go stycznia b. r. Sprawa miała się jak następuje: U niejakiego Męckiego, właściciela realności na Zwierzyńcu, służyła biedna dziewczyna, która znajdując się w potrzebie zastawiła u służbodawcy los krakowski. Los ten otrzymała ona dawniej w darze od ks. Czartoryskiej z Woli Justowskiej. Zastawiła go u Męckiego za 8 zł. i wykupiła w b. r. już po ciągnieniu. Ks. Czartoryska, przeglądając wykaz swoich losów, przekonała się, że właśnie los podarowany owej dziewczynie wygrał niedawno 25.000 złr. Zawezwała przeto dziewczynę do siebie i zapytała co z losem się stało. Dziewczyna opowiedziała historyę zastawienia i wykupienia losu, z czego się okazało, że Męcki oddał dziewczynie los inny, sam zaś zabrał 25 000 złr. t. j. główną wygranę, jaka na los padła. Męcki ofiarowywał początkowo dziewczynie 1.000 złr. „odczepnego", następnie już i całą sumę chciał zwrócić, lecz w skutek zawiadomienia prokuratoryi państwa o czynie, Męcki, stanie przed sądem.

Hans Bülow we Lwowie Czytamy w *Kurjerze lwowskim*: Zmarły 12 b. m. słynny pianista i niepospolity muzyk Hans Bülow, koncertował dwukrotnie we Lwowie. Po raz pierwszy w r. 1872, po raz ostatni w r. 1885. Zajmujący szczegół zdarzył się w roku 1872. Bülow przybył do Lwowa z końcem listopada, a dwa koncerta jego przypadły właśnie w czasie, gdy obchodzono uroczystość Mickiewiczowską. Komitet udał się do znakomitego gościa z prośbą, czyby nie zechciał wziąć udziału w tej uroczystości. Bülow zgodził się na to najchętniej. Gdy wieczorem w dzień obchodu wstąpił na estradę w sali ratuszowej, na której ustawiony był wśród gaju egzotycznych kwiatów biust nieśmiertelnego wieszcza, artysta pokłonił się głęboko, zwrócony w stronę biustu. Publiczność oklaskami odpowiedziała na niemy ten hołd obcego artysty, złożony cieniom polskiego poety. Wśród tych oklasków Bülow ruchem ręki dał do zrozumienia, że pragnie przemówić. W sali się uciszyło, a artysta w języku francuskim w podniosłych wyrazach dziękował komitetowi i publiczności, że dała mu możność okazania swego uwielbienia dla nieśmiertelnej sławy poety polskiego, którego zawsze tak gorąco czcił. Po tem przemówieniu, gdy grzmiące oklaski przycichły, zasiadł Bülow do fortepianu i zachwycił słuchaczy mistrzowską grą.

Dostawa mięsa dla armii. Na ostatniem posiedzeniu Rady miejskiej r. p. Michalski zaznaczył, iż po mieście krąży pogłoska, że władze wojskowe chcą dostawę mięsa dla załogi lwowskiej poruczyć jakiemuś przedsiębiorcy z Komorna. Zarządzenie takie wielką wyrządziłoby szkodę rzeźnikom lwowskim, dlatego p. Michalski uczynił wniosek nagły aby p. prezydent starał się temu zarządzeniu zapobiedz.

W sprawie tej *Gazeta lwowska* donosi co następuje: „Władze wojskowe ze względu na zdrowie i dobre odżywianie się żołnierzy, nie mogły być zadowolnione z tej dostawy mięsa dla wojska, jaka była wynikiem zwyczajnej konkurencyi rzeźników lwowskich. Wskutek tego nawiązano od pewnego czasu układy, które miały na celu doprowadzenie do skutku innego, a korzystniejszego rodzaju dostawy mięsa dla wojska. Wiele firm niegalicyjskich przedłożyło władzom wojskowym mniej, lub więcej nadające się do przyjęcia oferty, podczas gdy przedsiębiorcy galicyjscy nie przedstawili nawet w przybliżeniu podobnych korzyści. Mimo to jednak władze wojskowe, rozpisując ten konkurs, kilkakrotnie już przedłużają termin do zgłaszania ofert i dokładnie pouczają interesowane koła przedsiębiorców galicyjskich o stanie rzeczy. Stanowcza decyzya w tej sprawie jeszcze nie zapadła".

Śmierć na posterunku. Wczoraj donieśliśmy o zgonie ś. p. Macieja Świtalskiego, professora w V gimnazyum we Lwowie. Sp. Świtalski zginął na posterunku. W sobotę po obiedzie wykładał w gimnazyum język francuski, gdy nagle został tknięty porażeniem mózgu; odwieziony natychmiast do domu nie odzyskał przytomności i o godzinie 12 w nocy wyzionął ducha. Ś. p. Świtalski pochodził z Poznańskiego. Jako 18-letni młodzieniec brał udział w powstaniu styczniowem. Po rozbiciu oddziału powrócił do szkół i zdawszy egzamin dojrzałości w Lesznie, zapisał się na uniwersytet w Wrocławiu. Tam jako akademik pracował niezmordowanie nad wytworzeniem ogniska życia polskiego tak pomiędzy młodzieżą uniwersytecką, jak i tamtejszymi przemysłowcami, i założył kilka polskich stowarzyszeń. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich przeniósł się około 1873 roku do Lwowa i poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Jako profesor zacnością swego charakteru zaskarbił sobie powszechny szacunek tak u swych przełożonych jak i kolegów, umiał też pozyskać sobie miłość swych uczniów. Obarczony liczną rodziną i nie mogąc ze szczupłej pensyi profesorskiej wyżywić siebie, żony i siedmioro dziatek, pracował wiele nadobowiązkowo, udzielając lekcyi przedmiotów nadobowiązkowych w gimnazyum i lekcyi prywatnych. Nadmierna ta praca przyśpieszyła zgon jego. Cześć jego pamięci.

Zbrodnia z zazdrości. Z Żytomierza donoszą nam: Niejaki Opacki, młody człowiek bez określonego zajęcia, spotkawszy urzędnika Lewickiego, którego od dawna uważał za swego rywala, zadał mu

---

44)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

A tymczasem statek ominął dawno małpią górę, a okolica zmieniała się i znać po niej było, że wkroczono już w granice Tebańskiego powiatu. Wille rozmaite mnożyły się po obydwu brzegach rzeki, przypominające budową swoją dom Amenemhy w Sni. Dokoła pełno było pańskich ogrodów. Miejsce zboża zajmowały winnice, tworzące nieprzejrzane altany, właśnie o tej porze pokryte liściem w Egipcie. Brzegi rzeki i wszystkich kanałów wyprowadzonych z niej, nie zarastały już dzikim oczeretem, a były rzędowo zasiane lepszym gatunkiem papirusu, z którego wyrabiano papier, a którego uprawa, podobnie jak rybołóstwo na Nilu, była monopolem rządowym. Także ruch na rzece wzmagał się z każdym krokiem. Oprócz łodzi rybackich i statków ciężarowych, wiozących różne towary martwe i żywe bydło do stolicy, spotykano coraz częściej małe łodzie o dwóch wioślarzach, zupełnie podobne do weneckich gondoli, które zastępywały tak prywatne jak publiczne pojazdy, w tym kraju poprzecinanym tysiącznymi kanałami. Jedna rzecz byłaby niemało zadziwiła obecnego podróżnego, nieobznajomionego z religią i z obyczajami Egiptu. Tutaj właśnie, gdzie się ruch ludzki wzmagał, gdzie się stawał tłumnym, rojnym, malowniczym, społecznym, spotykano co chwila krokodyle, których nie było prawie w okolicy Sni. Pływały śmiało po rzece, wynurzały się z wody w bezpośrednim pobliżu łodzi, wychodziły na brzeg i przechadzały się swobodnie pomiędzy plantacyami papirusu. Nikt się nie bronił przeciw nim i nie ścigał ich, a jednak krokodyle nie wyrządzały nikomu krzywdy; nikomu, jak gdyby wiedziała, że jej bezpieczeństwo ustanie z chwilą, kiedy człowieka skrzywdzi i że wtedy popadnie pod mściwy miecz prawa. Tylko dzieci nie kąpały się już tu na każdem miejscu i były gdzie niegdzie oparkanione miejsca, do których drapieżna jaszczurka nie miała przystępu. Bo chociaż krokodyle były świętem zwierzęciem w Tebańskim powiecie, choć były na pół przyswojone i zawsze syte, dzięki ofiarom, które dla nich rzucano do wody, nie było jednak całkiem bezpiecznie przed niemi.

Słońce miało się już ku zachodowi, kiedy ukazały się na widnokręgu wielkie mury wznoszące się na prawym i na lewym brzegu rzeki i wznoszące się nad te mury gmachy. Było to miasto wielkie, zwane przez nas za przewodem Greków i Rzymian Tebami stubramnemi, a nazywające się w Egipcie: Amunejna — to się znaczy: Miasto Amuna. Nazwa Teby zaś jest przekręceniem staroegipskiego słowa: stolica „Ape", a z przedimkiem t'Ape.

Przez chwilę zamigotało tam w dali jakieś morze świateł. Gmachy ciosowe błyszczały, krwawiły się, złociły w świetle zachodzącego słońca, a miedziane dachy i złocone ornamenta świątyń i pałaców płonęły ogniem czerwonym. Ale cień gór Libijskich zakrywał szybko oblicze miasta; po chwili ściągnęły się coraz dalej ku Wschodowi a nareszcie zgasły nad wielką świątynią Luksoru, na arabskim brzegu rzeki. I trudno było teraz odróżnić zbliżające się miasto od innych linii krajobrazu. Mrok zapadł szybko; lampy olejne pozapalane w kulach szklannych, zawieszono na maszcie okrętu i cała rzeka zapłonęła od podobnych lamp, niby od wielkich much świętojańskich unoszących się po nad wodami. Domy cisnęły się coraz gęściej do brzegów rzeki i szereg ich bywał tylko przerwany pańskiemi ogrodami. Lampy, świece i pochodnie płonęły wszędzie na przedziach domów i po otwartych krużgankach, wychodzących na rzekę, niby zawieszeni w powietrzu bawili się i biesiadowali w tem fantastycznem świetle. Pięknie było to w przedmieściach wielkiego oka świata, a mnóstwo śpiewów wychodziło od wioślarzy na łodziach i od biesiadników w szczytu domów, przygrywki do jakiej odzywały się przy uczcie wieczornem. Był chłód, przywdziano wszędzie sukienne płaszcze, ale wiatru nie było, i niebo było rozskrzone, oświecona miryadami gwiazd na czarnem niebie.

Elpinoe zbliżyła się do Abibaala i szepnęła:

— A wskażesz mi, co mam tu robić, aby przyśpieszyć dzieło pomsty. Sama się nie opatrzę w tem ogromnem mieście.

— Spuść się na mnie — odrzekł Abibaal podobnież szeptem — nie zapomnę o tobie.

ROZDZIAŁ VII.

TEBY STUBRAMNE.

Stolica Egiptu zajmowała przestrzeń ogromną, znacznie większą od przestrzeni dzisiejszego Paryża. Ludności jednak miała bez porównania mniej od nadsekwańskiej stolicy, co najwięcej pół miliona dusz. Właściwe miasto tworzyło podłużny czworobok na lewym, zachodnim brzegu Nilu, a dźwigało się po części na naturalnem podwyższeniu równiny, po części na terasach, a dotykało się ruchomego piasku pustyni i skał libijskich; było otoczone do koła niezbyt wysokim ale grubym murem z cegły i było przecięte licznemi kanałami, do których sprowadzono wodę Nilową, ale na których ruch łodzi odbywał się odtąd tylko w czasie corocznego wylewu, to jest od czerwca do końca października. W zimie i na wiosnę krążono po mieście lądem, głównie pieszo i lektykami, ale także pojazdami różnemi po pięćdziesięciu głównych ulicach miasta, krzyżujących się pod prostemi kątami. Dwadzieścia dłuższych ulic szło od północy na południe, a trzydzieści krótszych przecinało miasto od wschodu na zachód. Ulice te były prawie tylko proste, biegły pomiędzy dwoma rzędami ceglanych ścian, na których wznosiły się dopiero domy, a przechodziły przez murowane bramy, tam gdzie się spotykały z kanałami. U obydwu końców tych ulic postawiono monumentalne bramy miasta, których było w istocie sto, a dwie ciężkie, płaskie, kwadratowe wieże stały na prawo i na lewo przy każdej bramie.

C. d. n.

kijem kilka ciosów w głowę. Lewicki upadł na miejscu, a odniesiony do mieszkania, w parę godzin zmarł. Opackiego władze natychmiast aresztowały. W śledztwie zeznał, że jedynie chciał uderzyć Lewickiego kijem, za rozszerzanie o nim fałszywych wieści, a nie miał zamiaru go zabić.

Włościanie o ks. Stojałowskim. W jednem z pism wydawanych przez ks. Stojałowskiego pojawił się list pisany rzekomo w imieniu włościan gminy Bestwinka w duchu zasad ks. Stojałowskiego. W odpowiedzi na ten list 74 włościan owej gminy umieściło w czasopiśmie *Nowy Dzwonek*, wydawanem w Krakowie przez ks. Marcelego Dzierżyńskiego oświadczenie, że nie zgadzają się z zasadami, które reprezentuje ks. Stojałowski, i że ów list, pisany w imieniu włościan Bestwińskich, musi być fabrykatem jakiegoś przewrotnego człowieka.

Awantury w szpitalu powszechnym. Jedno z pism żydowskich donosi: Od kilku miesięcy wkradł się zwyczaj, że chorym mojżeszowego wyznania, przebywającym w szpitalu powszechnym, współwyznawcy ich w czasie odwiedzania chorych między godziną 3—5 popołudniu przynoszą koszerne jadło, które chorzy kupować mogą. Koszerne to jadło przynoszone bywa w niechlujnych naczyniach, przez ludzi nieczysto ubranych, którzy zazwyczaj rozlewają takowe po podłodze. Każdy izraelita, bez względu na to, czy mu jest zalecona dyeta, czy nie, kupuje to jedzenie i często swój stan przez to pogarsza. Odbywają się przytem wśród szwargotu i krzyku targi, które nękają drugich chorych, potrzebujących spokoju. Pominąwszy tę okoliczność, że przez to zanieczyszcza się oddział, na którym czystość i aseptyka ma być pierwszym warunkiem do wyzdrowienia, jest to i z tego względu rażącem i szkodliwem, ponieważ kontrola lekarska jest niemożliwą, a nadto szpital powszechny, który nie jest szpitalem wyznaniowym, staje się pod pewnym względem szpitalem żydowskim. Zuchwałość handlarzy, przynoszących jedzenie, doszła w ostatnich czasach do takich rozmiarów, że przed kilku dniami, gdy zakonnica wzbroniła wstępu do jednej z sal tym handlarzom, dostarczającym jedzenia, handlarze drzwi wywalili, rzucili się na zakonnicę z pogróżkami i gdyby służba nie była nadbiegła, byliby ją ciężko znieważyli. Gdy jednego z handlarzy awanturników oddano w ręce policyi, został tenże bezkarnie na wolność puszczony, tłómacząc się bowiem, że ma na to pozwolenie władz dotyczących.

Rzeź w Krożach. *Hallesche Ztg.* zamieściła szereg interesujących fejletonów pt. „Aus dem heiligen Czarenreich". Znajdujemy tam w dwóch numerach nader wyczerpujący i dokładny opis krwawych rzezi w Krożach pod tytułem: „Das Blutbad von Kroże". Autor Kurd Hartell był naocznym świadkiem tych scen barbarzyńskich. Z tego, co nam literat niemiecki podaje, przekonywamy się, że groza niedawnej rzezi była straszniejszą jeszcze, niż opisywali korespondenci pism polskich. „Zamykałem oczy — pisze fejletonista niemiecki — a serce moje bić przestało na widok okropny. Przynajmniej 50 osób zapędzonych przez szturmujące sotnie kozaków na lód głęboki Krożanty, zginęło w nurtach rzeki, a ile ich padło pod ciosami i pałaszami kozaków! Potem nadeszła chwila egzekucyi. Ludzie marli pod nahajkami, a na trupach wymierzano resztę przepisanych razów. Ciało na plecach przyskako w strzępy i z ran wyglądały kości nagie".

To mówi, nie polski korespondent, to mówi Niemiec z krwi i kości, który w następującym słowach kończy opowiadanie swoje:

„Dosiadłem konia mojego, i jak od furyi ścigany uciekłem do Worń. A rodziny, pozbawione karmicieli swoich, których trupy w falach Krożenty płynęły, lub pokrywały twardą, krwią zbryzganą ziemię? Niczewo! A pomordowani, na śmierć zakatowani mężczyźni i kobiety? Niczewo! A dzieci, które łkając i płacząc, błądziły w około? Niczewo! A setki nieszczęśliwych, pędzonych do kopalń syberyjskich? Niczewo! A geniusz cywilizacyi, geniusz ludzkości, który w żałobie zasłania oblicze swoje? Niczewo! Niczewo!"

Z Wojniłowskiego otrzymaliśmy zażalenie na niewygodną komunikacyę z dworcem kolei żelaznej w Bursztynie.

„Przejechawszy most na rzece" pisze korespondent, „i zostawiwszy za sobą cztery kilometry drogi, przyjeżdżam do miejsca, w którem kolej przecina gościniec. Niestety, nie ma tam ni dworca, ni przystanku nawet, abym dostać się do stacyi w Bursztynie, i wskutek tego trzeba nakładać drogi równolegle z koleją jechać bagnistą drogą do dworca. Gdy trwa posucha, lub grunt jest zamarznięty, to nie robi to żadnej różnicy; ale podczas deszczów lub wiosną ustaje prawie wszelka możność dostania się do stacyi. To też nie do uwierzenia, ale z prawdą zupełnie zgodnem jest, że wczoraj (16 bm.) lekkim wózkiem i czterema dobrymi końmi równo dwie godziny gramoliłem się przez ten kawałek drogi.

To też nic dziwnego, że cała okolica uważa drogę prowadzącą od gościńca do dworca za rodzaj narzędzia tortury i czeka jak zmiłowania boskiego, kiedy też miasto Bursztyn stacyę na Bursztyńskiej drodze. Wtedy skończyłyby się nasze tortury, a nadto Bursztyn byłby od stacyi oddalony cztery kilometry, a nie jak teraz półsma kilometra."

Czytelnia ludowa. Z Olpin piszą nam 16 bm.: Dnia 2 lutego otwarto uroczyście w Olpinach czytelnię ludową, założoną przez krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej, za staraniem p. Eufemii Rogawskiej. Krakowskie Towarzystwo oświaty ludowej przysłało na założenie czytelni 142 dziełek, a p. Rogawska darowała 80 dziełek. Dobrodziejka ta, zajmująca się tak gorliwie czytelnią, zaprenumerowała dla niej nadto cztery czasopisma ludowe.

Wiadomości dyecezyalne. Grecko katolicka dyecezya stanisławowska: Odznaczeniem kandrynie okrzm mianowany ks. Wiktor Czomkiewicz ze Strzałkowiec. Odznaki kanonickie otrzymali księża: Wacław Chojnacki z Hersaymowa, Antoni Szankowski z Niżborka, Michał Hordyński ze Staruni, Ap. Czemeryński z Budzanowa, Józef Karatnicki z Simakowiec i Hilary Aleksiewicz z Niwry. Grecko katolicka dyecezya przemyska: Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Daniel Michejłów na Miłków w powiecie cieszanowskim, Mikołaj Buta na Skorodne w powiecie liskim i Jan Sawczak na Zamerczek w powiecie żółkiewskim.

Zmarli. Antonina z Borkowskich Rygrowa, matka artysty dramatycznego, zmarła w Krakowie w 68 roku życia.

Stan powietrza. Termo. — 7 o godz. 8 rano, w poł. — 5 R. Barom. 776. Pochmurno. Śnieg.

Między literatami.
— Wiesz co kolego, mam znakomitą ideę do nowej powieści.
— Któż ją kiedże darował?

„Pamięć o byku" Pod takim tytułem nadesłał nam jeden z naszych prenumeratorów następujący wiersz:

Że buty drożej płacisz szewcowi,
Dziękuj bykowi;
Że podrożał cukier i kawa,
To byka sprawa;
Że podrożały w sklepie wędliny,
Z byka przyczyny;
Że nie dokupisz się masła, i mleka,
Błogosław byka;
Bułki zdrożały, a chleb malusi,
W tem byk być musi;
Że więcej ciebie kosztuje sługa,
Byka zasługa!
Że kwaśną minę ma magnifika,
To wina byka!
Że droższe wino, piwo i wódka,
Byka pobudka;
Czynsz płacisz większy właścicielowi,
Dziękuj bykowi;
Masz egzekucyę — zima czy lato,
Dziękuj bykowi także i za to;
„Strzelili byka" ojcowie miasta,
Temu byk przecież winien i basta;
Słowem okazyi mamy bez liku,
By nie zginęła pamięć o byku;
I ci, co kiedyś po nas przyjdą mają,
Zapewne byka popamiętają;
Więc choć nie będzie po nim pomnika,
To nie zapomni potomność byka.

A. Gostyński.

Rozmaitości.

Waryat maszynista. Pociąg pospieszny ugrzązł w zaspach śnieżnych na małej stacyi między Chicago a Nowym Yorkiem i nie było nadziei, abyśmy się prędko z nich wydobyli. Siedziałem więc w biurze naczelnika stacyi, rozgrzewając się piekielnie gorącemi napojami i bawiąc się opowiadaniem ciekawych zdarzeń. Owóż między innemi takie usłyszałem opowieść od naczelnika stacyi:

Najlepszym ze wszystkich maszynistów, jakich mieliśmy na tej linii, był skończonym waryatem. Nazywał się Bill Spreckles. W owym czasie dawaliśmy jeszcze lokomotywom imiona, teraz tylko numera. Owóż Billowi dano „Martę Washington", najlepszą lokomotywę naszą, która prowadziła pociąg błyskawiczny między Chicago a Nowym Jorkiem. Bill miał wtedy lat trzydzieści; było to chłop krzepki i potulny, który nie pił ani nie grał, nie chodził na wiece ani w niedziele na ryby. Ale co się tyczy lokomotyw, a specyalnie jego lokomotywy, miał Bill swoje własne waryackie zapatrywanie. Twierdził on mianowicie, że lokomotywy są tak samo żyjącem stworzeniem jak każde inne, co więcej święcie w to wierzył i niemało byłby oburzony, gdyby ktoś był tak nierozważny i oświadczył przy nim, że lokomotywa nie jest niczem innem, jak tylko maszyną. Mawiał on, że każda lokomotywa ma odrębny charakter i specyalne zdolności, że są dobre i złe lokomotywy, a że zła jest czemś gorszem niż rozbójnik kolejowy. Co się zaś tyczy „Marty Washington", to całem światem było wiadomem, że Bill uważał ją za najpiękniejszą ze wszystkich lokomotyw. Twierdził on, że „Marta" jest rzeczywiście najpiękniejszą lokomotywą, której dwa wielkie koła miały po pięć stóp średnicy, że jej komin jest nicałkowicie wspaniały, a żaden rumak nie jest tak dzielny, jak ona. Bill przysięgał, że jej nie ma równej na całym świecie. Kierował nią od trzech lat i przyznać muszę, że robił to z wielką wprawą i znajomością rzeczy.

Pieczołowitość, jaką otaczał Bill „Martę Washington", była przedmiotem rozmów na całej linii. Jeżeli pałacz ją opalał, nie czuł się Bill tem zadowolonym, i zawsze, skoro po odbytej jeździe powracał, to „Marta Washington" wyglądała, jak gdyby tylko co wyszła z pracowni złotnika. Kiedy mu się zdawało, że jest z nią sam na sam, przemawiał do niej jak do dziecka. Nazywał ją swoją „lubą" i nadawał jej cały szereg pieszczotliwych przydomków. Opowiadał jej o innych lokomotywach dotyczących, które ta i śmiała się z nich, a myślał, że ona to wszystko uznaje. Czasem siadał, obejmując jej komin, naturalnie gdy nie był przez nikogo widziany, całował „Martę" i mówił jej, że na całym świecie nie ma lokomotywy, któraby zasługiwała, aby jej imię wymówiono razem z imieniem jego ukochanej.

Ale w tem wszystkiem Bill nie był waryatem w większym stopniu. Jego palacz opowiadał mi, że Bill ma zwyczaj wrzucać w jej palenisko czasami po kawałeczku cukru, bo — jak mówił — „Marta" lubi słodycze.

To samo darzył Bill swą lokomotywę wierszami i deklamował jej przeróżne liryczne wiersze. Mawiał on, że „Marta" ma wiele zmysłu poetycznego i że zawsze lepiej idzie, kiedy on jej wiersze mówi. Ale jeśli to jest prawdą, to sądzę, że tylko dla tego, że wiersze mówił lepiej niż od innych poezyi.

Dopóki Bill prowadził „Martę Washington", niewolno było nikomu, z wyjątkiem palacza, dotknąć się jej nawet, a nawet palacz musiał się wobec niego krępować. Pewnego dnia wpadło Billowi na myśl, że oliwa, dostarczana przez kompanię do smarowania osi, nie jest dość dobra dla „Marty", zakupił więc sadła niedźwiedziego w najlepszym gatunku, w jakim używają go panny w Atenach jako pomady, i kazał palaczowi aby tylko tym tłuszczem smarował lokomotywę. Ale sadło niedźwiedzie jej nie służyło, palacz nie chciał go używać, doniósł starszemu inspektorowi o rozporządzeniu Billa, a inspektor rozkazał, że wszystko ma być po dawnemu. Bill więc przynajmniej mył sztaby lokomotywy pachnącemi mydełkami i skrapiał „Martę Washington" kolońską wodą, a sądzę, że gdyby Towarzystwo na to zezwoliło, byłby sprawił „Marcie" jedwabną suknię i komin jej ubrałby w modny kapelusz z żółtemi wstążkami i wypchanymi ptaszkami.

Kiedy „Martę Washington" na noc odprowadzano do remizy, co się trzy razy na tydzień zdarzało, Bill chciał spać na jej tenderze, ale to się sprzeciwiało przepisom, nie mógł więc tego uczynić. W księżycowe zatem nocy schodził do remizy, stawał pod jednem z okien i wykonywał coś, co nazywał śpiewem. Bo twierdził, że „Marta" lubi niezmiernie muzykę, a serenadami w noc księżycową to się już poprostu zachwyca. Trzeba wiedzieć, że głos Billa byłato mięszanina zgrzytu tartaka i świstawki parowej; ale szczęściem dla niego podczas owych serenad w pobliżu remizy nie było nikogo prócz stróża nocnego, który zwykle zasypiał tak ciężko, że chyba tylko wybuch dynamitu zbudziłby go.

I tak Bill coraz więcej był zakochany w swej maszynie, aż wreszcie przyszło mu na myśl, że musi ją poślubić. Posłał palacza do Detroit i kazał mu kupić wielki pierścień mosiężny, czyścił potem ten pierścień tak długo, aż się świecił jak złoty, potem przymocował go dokoła komina lokomotywy i powiedział, że to są zaręczyny. Koledzy poczęli z niego pokpiwać z powodu owego pierścionka, ale Bill dał im taką nauczkę, iż kiedy wyszli ze szpitala, przyszli do przekonania, że każdemu wolno zabawić się wedle swego upodobania i że wcale nie mają zamiaru obrażać uczuć pewnego dżentelmena.

Wzmianka o szpitalu przypomina mi, że Bill wkrótce po zaręczynach ze swą lokomotywą, przechodząc przez zwrotnicę, złamał sobie nogę i sam musiał pójść do szpitala. Dostał silnej gorączki, majaczył i wołał: „Marto! — Ja muszę widzieć się z Martą! Powiedźcie jej, aby przyszła do mnie. Umrę, jeśli nie przyjdzie".

Raz więc wyszukał mnie pewien młody lekarz z szpitala, wiedząc, że jestem przyjacielem Billa i powiedział:

— Możeby pan zobaczył się z Martą Billa i przysłał ją do szpitala, aby się mógł z nią zobaczyć. Może go to uspokoi, skoro posiedzi przy nim chwilę.

— Gdyby Marta po schodach weszła do szpitala i usiadła koło łóżka Billa, zdziwilibyście się trochę — powiedziałem — bo jest to maszyna i to największa na tej linii. Bill kierował nią i zapewne teraz obawia się, że ktoś inny zajmie jego miejsce na jej tenderze.

Tak się rzeczywiście też stało, bo Towarzystwo nie może pozostawić bezczynnie lokomotywy, skoro jej maszynista zachorował i „Marta Washington" musiała odbywać swą robotę bez względu na to, czy Bill znajdował się na stanowisku, czy nie. Nowy maszynista, jak się zdawało, przypadł jej jeszcze bardziej do gustu niż poprzedni i tak stało się, że kiedy Bill wyszedł ze szpitala, dostał inną maszynę „Sarę Siddons" całkiem zwykłą pomocniczą lokomotywę.

Naturalnie Bill czuł się niepocieszonym po stracie „Marty Washington". Skoro odbył swoją jazdę, czatował na naszej stacyi, aby zobaczyć „Martę", jak przejeżdżała przez Jericho, albo jak parę wypuszczała idąc do remizy. Ale zdawało się, że ona ani o nim wiedzieć już nie chce, a pewnego dnia, kiedy ją okrążał, plunęła z jednego ze swych wentyli ukropem i sparzyła mu rękę.

— Nie tyle mi ten ból dokuczył — mówił potem Bill — bo nic sobie nie robiłem z podobnych drobnostek, ale świadomość, że ona miała serce obejść się tak ze mną, dręczyło mnie bardzo. Ona nie myśli już o nikim innym, tylko o nowym maszyniście, chociaż ciągle jeszcze nosi pierścionek zaręczynowy odemnie.

— Zapomnij o niej — mówiłem — to kokietka. Nie myśl o niej i zajmij się Sarą Siddons. Słyszałem, że to dobra maszyna.

— Tak, tak, „Sara Siddons" to uwagi godna lokomotywa — mówił Bill — ale my się nie rozumiemy i nie zrozumiemy się, chociażbyśmy pięćdziesiąt nawet lat byli ze sobą. To dobra lokomotywa, idzie pewnie, równo, ale — nie ma rozumu ani charakteru. Nudzi mnie i ani mi się nigdy nie śni deklamować jej wiersze. Nie pojęłaby mnie.

Biedny Bill zmartwiał się na śmierć z powodu utraty „Marty Washington", aż pewnego dnia nowy jej maszynista wpadł z nią na drugi pociąg i zginął. Lokomotywa ucierpiała też na tem, a kiedy ją naprawiono, oddano ją znowu Billowi. Trzeba go było widzieć tego dnia, kiedy ją obejmował! Na rękach miał białe rękawiczki balowe a popielnik „Marty" otoczył czerwono-biało-niebieską szarfą. Był bardzo szczęśliwy. Ale to szczęście niedługo trwało.

Robił wszystko co mógł, a maszyna starała go się pozbyć wszelkiemi sposobami. To złamała sobie jakiś czopek, to znów zgubiła śrubkę, innym razem popsuł się jej wentyl i tak dzień w dzień zatruwała Billowi życie. Nie było lepszego maszynisty niż Bill, miał on nadto najlepszego palacza na całej linii, ale lokomotywa z obu sobie nic nie robiła. Podróżni zaczęli się gniewać, bo pociąg błyskawiczny spóźniał się często, a starszy inspektor kazał zawołać do siebie Billa i zapowiedział mu, że skoro sobie nie może dać rady z „Martą Washington," będzie musiał ustąpić miejsca innemu maszyniście. Billowi o mało serce nie pękło.

— Ona tak tęskni po tym przeklętym maszyniście, którego jej dano, kiedym był w szpitalu — narzekał biedak. — Robiłem wszystko, co się da zrobić, ale nadaremnie. Oddała serce innemu i aniby uwierzyła, że on już nie żyje. Gdybym jej powiedział, że przed sześciu tygodniami rozszarpany został na strzępy, sapnęłaby tylko, co znaczy: „Gadaj takie bajki komu innemu". Tak, tak, on był młodszy i przystojniejszy odemnie i ona zakochała się w nim. Nie ma rady.

Z Billem i „Martą Washington" było coraz gorzej i pewnego dnia rozkazał starszy inspektor, aby, skoro raz jeszcze pociąg pospieszny się spóźni, dać „Marcie" innego maszynistę, a Billowi oddać maszynę pomocniczą. Bill nie wyrzekł ani słowa, kiedy dowiedział się o tym rozkazie, ale zbyt dobrze go znałem, aby nie wiedzieć, że żaden rozkaz na świecie nie usunie go z tenderu „Marty Washington". Tego samego popołudnia, pociąg pospieszny przyszedł tu zamiast o 4 g. 18 minut, o 6-tej, minut 7.

Nie było żadnej przeszkody w drodze, nie zdarzył się żaden wypadek, ale ogień pod kotłem nie chciał się dobrze palić a para uchodziła z „Marty Washington". Ale wreszcie doprowadził pociąg do celu, wyprzągł lokomotywę i powrócił do Jericho. Byłem właśnie na peronie, kiedy przybył tu, ale zamiast zatrzymać się, popędził dalej, z szybkością z pewnością siedmdziesięciu mil angielskich na godzinę. Nie mogło to się dobrze skończyć. I rzeczywiście, o dziesięć mil angielskich stąd, wjechał Bill na pociąg, wiozący wychodźców i nie widziano jeszcze, aby kiedy maszyna rozpadła się na tak drobne kawałki, jak wtedy „Marta". Bill i jego palacz zginęli, nie dowiedziano się zatem nic pewnego o wypadku. Ale ja ani chwilę nie wątpię, że Bill umyślnie „zabił" maszynę i siebie, nie chcąc, aby przeszła w ręce innego maszynisty. Z powodu tej katastrofy nie było zbyt ostrego śledztwa, gdyż w pociągu z wychodźcami zginęło tylko parę tuzinów Włochów, szkoda więc było nawet trudu, aby komisya oglądała ich zwłoki.

To jest historya o maszyniście waryacie, co do mnie do dziś nie jestem pewien, czy Bill był rzeczywiście waryatem, czy też może tkwiło jakieś ziarnko prawdy w jego twierdzeniu, że lokomotywa go znała, miała uczucia i t. d. Jakkolwiek rzecz się ma, wydać się przecież to musi szczególnem, że „Marta Washington", po młodym maszyniście z Billem nie chciała nic mieć do czynienia. Ale mało ludzi na świecie rozumie lokomotywy i kobiety.

Część ekonomiczna.

§ **Zniżenie taryfowe** dla przewozu kukurudzy. Dyrekcya kolei państwowych donosi, że z ważnością od 1 lutego 1894 do 31 lipca 1894 wchodzi w życie w Galicyi w drodze zwrotu, ulga taryfowa dla kukurudzy w ruchu lokalnym kolei państwowych między stacyami zawartemi w taryfie część II zeszyt 2, oddział A pod następującymi warunkami:

Należytość przewozowa musi być opłacaną najmniej za 10.000 kg. od listu frachtowego i wozu, kukurudza musi być sprowadzoną przez deklarowane rolniczo-gospodarskie gorzelnie królestwa Galicyi. Sprowadzanie posyłek może się odbywać wprost albo też przez pośredników, w ostatnim wypadku jednak musi być na liście frachtowym ze strony organów skarbowych potwierdzone, że posyłki te dla jednej lub dla więcej gorzelni przeznaczone są i dla których. W obydwu wypadkach musi być na oryginalnych listach frachtowych nadto potwierdzenie władz skarbowych, że kukurudza ta faktycznie do celów gorzelnianych w dotyczącej rolniczo-gospodarskiej gorzelni zużytą została. Od tego rodzaju posyłek obliczać się będzie należytości przewozowe podług taryfy specyalnej Nr. 3, a różnice wynikłe z poprzedniego obliczania podług normalnej taryfy specyalnej Nr. 1 zwracane będą, jeżeli listy frachtowe zaopatrzone w wyż wspomniane dowody do końca września 1894 przedłożone zostaną.

Telegramy „Przeglądu".

Nowy zamach anarchistów.

Paryż 20 lutego. W nocy o godzinie pół do 2-giej wybuchła bomba w hotelu przy ulicy św. Jakóba w kwartale łacińskim. Bomba ta wybuchła w pokoju pustym, w którym wczoraj jeszcze mieszkał pewien robotnik przybyły świeżo do Paryża. Właścicielka hotelu i dwóch lokatorów są ranni. Bomba wybuchła w chwili, gdy policya otwierała drzwi pokoju tego, otrzymawszy doniesienie, że w nim mieszka znany anarchista.

Paryż 20 lutego. Właścicielka hotelu, w którym wybuchła dzisiejszej nocy bomba, pani Calabresi jest ciężko ranna. W pokoju wszystkie meble są zniszczone, okna wybite. Policya mniema, że niebawem uda się jej odszukać tego złoczyńcę, gdyż posiada dokładny opis jego osoby.

Wiedeń 20 lutego. Po dłuższej, czasami bardzo drażliwej debacie, przyjął sejm dolnoaustryacki wszystkie wnioski komisyi co do operacyi przedsięwziąć się mających na korzyść rolnictwa. Antysemita Gregorig zarzucał członkom komisyi przekupstwo, za co go przewodniczący wezwał do porządku, namiestnik zaś na podstawie aktów zbijał zarzuty Gregoriga. Mowę namiestnika przerywali antysemici, skutkiem czego powstała w sali kilkakrotnie wrzawa. Między posłami Gregorigem a Richterem, tudzież między marszałkiem a Luegerem przyszło kilka razy do ostrej wymiany zdań.

Tateisze liberalne pisma wystąpiły ostro przeciw prezydentowi najwyższego trybunału Habietinkowi za to, że pozwolił na to, aby ostateczny wywód na odbytej ostatnimi dniami rozprawie kasacyjnej wypowiedziano po czesku. Owóż *Wiener Abendpost* konstatuje, że wywód ten miał oskarżony, który przybył na rozprawę bez obrońcy, co jest dozwolone, jeżeli idzie o występek, nienależący do kompetencyi sądów przysięgłych. Wedle zaś długoletniej praktyki, której trzyma się najwyższy trybunał, wolno oskarżonemu, nie władającemu dobrze językiem niemieckim, bronić się w języku ojczystym.

W procesie przeciw anarchistom wiedeńskim przesłuchano wczoraj oskarżonych Hahnela i Stikulę. Hahnel przyznaje, że drukował anarchistyczne pisma ulotne, tudzież że sporządził bombę ołowianą i puszki blaszane, zaprzecza jednak, jakoby miał zamiar użyć ich do wykonania zamachu. Stikula przyznaje, że bywał na tajnych zgromadzeniach, wszelako zapewnia, że nie znał treści pism ulotnych, gdyż nie umie czytać. Zarazem zeznał Stikula, że Haspel opowiadał mu nieraz o materyach wybuchowych.

Friedrichsruh 20 lutego. Ogromne tłumy ludzi zebrały się wczoraj na dworcu tutejszym już na kilka godzin przed przybyciem cesarza. O trzy kwadranse na szóstą wieczorem przybył Bismark na dworzec. Publiczność powitała go hucznymi okrzykami. W dziesięć minut później zajechał na peron pociąg dworski. Cesarz, w mundurze admiralskim, wyskoczył szybko z wagonu, przystąpił do Bismarka, uścisnął mu kilka razy dłoń. Bismark chciał pocałować w rękę cesarza, ale cesarz nie pozwolił na to. Z dworca obaj pieszo udali się do zamku. Publiczność, zebrana licznie na drodze, wznosiła okrzyki na cześć cesarza. W orszaku monarchy znajdowało się siedm osób. W zamku powitała cesarza na progu żona Bismarka. Cesarz podał jej ramię i wprowadził ją do salonu.

Po wzajemnych przedstawieniach zasiedli wszyscy do obiadu na dwanaście nakryć. Podczas obiadu wypił Bismark z przysłanej mu przez cesarza butelki zdrowie monarchy. Z uderzeniem godziny dziewiątej powstał cesarz od stołu i w towarzystwie Bismarka udał się na dworzec, oświetlony wspaniale. Pożegnawszy się z Bismarkiem kilkakrotnem uściśnieniem dłoni, wsiadł cesarz do wagonu salonowego i stojąc w oknie kłaniał się na wszystkie strony. Publiczność przerwała kordon straży, zamykający wejście do dworca, i zebrała się tłumnie przed wagonem. Bismarka zaś otoczono tak ciasnem kołem, że dopiero przy pomocy pompierów mógł dostać się do domu.

Kilonia 20 lutego. Cesarz Wilhelm rozkazał, aby wszystkich tych marynarzy, którzy zginęli skutkiem pęknięcia kotła na parowcu „Brandenburg", pochowano z honorami należnymi żołnierzom, poległym na polu walki. Pogrzeb ich odbędzie się dziś. Admirał Knorr reprezentować będzie cesarza.

Nowy York 20 lutego. W Cincinati aresztowano anarchistę Temmena i znaleziono przy nim spis nazwisk 120 anarchistów, nad którymi rozciągnięto silny nadzór policyjny.

Helsingfors 20 lutego. Wszystkie kobiety i dzieci znajdujące się na owej bryle lodu, która oderwała się od brzegu, uratowano.

Paryż 20 lutego. Wczoraj przedsięwzięto tu rewizyę u 18 anarchistów i aresztowano jednego. Na prowincyi odbyły się także rewizye. W Saint Quentin aresztowano 10 osób i zabrano ważne papiery. Także w kilku innych miejscowościach aresztowano anarchistów.

W izbie deputowanych toczyła się wczoraj dalej debata nad podwyższeniem ceł zbożowych.

Budapeszt 20 lutego. W toku wczorajszej debaty nad projektem ustawy o ślubach cywilnych, zgłosił p. Polonyi cały szereg poprawek, od których przyjęcia uczynił zawisłem głosowanie swe za przedłożeniem rządowem.

Sofia 20 lutego. Lekarze wiedeńscy, zawezwani do księżnej, skonstatowali objawy lokalnego zapalenia, które jest przyczyną częstej gorączki, i wyrazili nadzieję, że księżna niebawem zupełnie wyzdrowieje.

Wiedeń 20 lutego. Komisya wybrana przez sejm dla zbadania zarzutów podniesionych przez p. Gregoriga przeciw członkom dla regulacyi Dunaju, orzekła, że zarzuty te nie mają żadnej podstawy.

Wels 20 lutego. Cesarz Franciszek Józef przybył tu wczoraj o godzinie 5 po południu i wprost z dworca udał się do zamku Lichtenegg, do córki swej arcyks. Maryi Waleryi, która tymi dniami spodziewa się rozwiązania.

Przyjechali do Lwowa
dnia 20 lutego 1894.

HOTEL ŻORŻA. St. Orzechowska i E. Wysocka z Podola rosyjskiego. Z. Łastawiecki z Lipnik. L. Krieser z Weldzirza. F. Koszowski z Zastawnej. G. Broders z Paryża.

HOTEL VICTORIA. H. Kochanowicz z Limanowej. P. Konarzewska z Podwołoczysk. J. Margulin ze Stanisławowa. M. Goldenberg z Grzymałowa. J. Reiniger z Przemyśla. J. Sonnenfeld z Budapesztu.

HOTEL IMPERIAL. K. hr. Drohojowski z Krukienic. A. Lessel z Warszawy. H. Rodakowski z Krakowa. B. Żurowska z Krakowa. H. Reuther z Wiednia. W. Zahaysky z Wiednia. W. Hausner z Wiednia. E. Fuchs z Wiednia. F. Górski z Rykowa. S. Matkowski ze Szczerca. Stan. Lilienthal ze Stanisławowa. N. Grusicki z Królestwa Polskiego.

HOTEL CENTRALNY. Hr. St. Dunin z Głębokiej. A. Funk z Wiednia. J. Mleczuch z Michałówki. J. Trauer z Budapesztu. G. Siebenstein z Berlina.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 20 lutego. (Z Izby handlowej).
Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassky po 200 zł. w. 263.— do 266·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 367·— do 377·—.
Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·80 do 101·50, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·40 do 99·10. 4% los. w 41½ lat. 98.30 do 99·—, 4% los. w 56 latach 98·30 do 99·00. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.
Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97·10 do 97.80. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·— do 102·70 Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·20 do 96·90 4% z roku 1893 96·20 do 96·90.
Monety. Dukat cesarski 5·87 do 5·97 Napoleondor 9·87 do 9·97. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30·— do 1.35·—. 100 marek niemieckich 60·90 do 61·40.

Wiedeń dnia 20 lutego. (godz. 11 w połudn.). Kredyty 363.—, kred. węgierskie 436.—, Anglob. 157.75, Uniony 265.25, Bankvereiny 131.75, Länderbanki 256.70, Akcye tytoniowe 208·50 Staatsbahny 315.12, Lombardy 109.—, Elbethale 243·— Renta papierowa 98·12, Renta węg. 4% kor. 94·95 Renta węg. złota 4% 117·75, Alpiny 58·30. Marki 61·22 Losy tur. 65.40.

RUCH POCIĄGÓW.
(Zegar lwowski).

Odchodzą do

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	10·41	5·26	11·11	7·36
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	11·11	—
Podw. Podza.	6·54	3·32	10·40	11·33	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	3·31	10·56
Stryja	—	—	7·21	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	7·21	—

Przychodzą z

Krakowa	3·08	6·01	6·36	9·41	9·35
Podwołoczysk	2·48	10·02	6·21	9·46	—
Podw. Podza.	2·34	9·46	9·21	5·55	—
Czerniowiec	10·10	—	7·11	7·59	12·51
Stryja	—	—	1·08	9·08	9·51
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano.

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

2

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Cała rodzina mieszkała w dobrach Rochebelle, położonych w Normandyi nad brzegiem morza, lecz podczas gdy Teresa przebywała ciągle na powietrzu, biegała, kąpała się i codzienne wycieczki robiła do lasu, Helena tymczasem, siedząc ciągle przy matce, mówiła mało i nawet już w wieku dziecinnym tłumiła w sobie wrażenia i zaniepokojonej jej milczeniem matce odpowiadała:

— Nie jestem chorą; przeciwnie, mateczko, jestem bardzo szczęśliwą, pozostając przy tobie.

I tuliła się do matki, jak mała ptaszyna, nie posiadająca jeszcze skrzydeł do lotu.

Gdy przed dwoma laty rodzice dziewczynek musieli wyjechać do Hawany dla uregulowania ważnych interesów pieniężnych, zastanawiali się długo, czy nie należałoby zabrać córek z sobą. Ale dwie rzeczy stały na przeszkodzie. Naprzód niezmiernie wątłe zdrowie Heleny, która mogłaby nie przenieść gorącego i wilgotnego klimatu Hawany, następnie przekonanie, że rozstanie to będzie krótkie. Sądzili, że powrócą za trzy miesiące. Tymczasem stało się inaczej. Zaszły pewne komplikacye, następnie, odkładając wyjazd z tygodnia na tydzień, lub do następnego miesiąca, przeszło dwa lata pozostali zdala od swych dzieci.

Zresztą, nie mieli powodu niepokoić się o nie; Sybila Andrew, nauczycielka dziewczynek, wychowana wraz z Nadiną i serdeczna jej przyjaciółka, kochająca jej dzieci jak matka rodzona, była osobą inteligentną i rzadkiej prawości charakteru.

Z tem wszystkiem Helena, która przy odjeździe matki zaledwie zapłakała, wkrótce zachorowała niebezpiecznie i omal nie umarła. Nie umiała powiedzieć co jej dolega, lecz niknęła w oczach, stała się jeszcze więcej niż dawniej milczącą i tylko głęboka zmiana w rysach twarzy zdradzała cierpienie.

— Co ci jest? — zapytywała Teresa, przestraszona, widząc ją z każdym dniem bledszą i mizerniejszą.

Helena uśmiechała się smutnie i cichym głosem odpowiadała:

— Nic mi nie jest.

— Czy tak tęsknisz do mamy? Ależ i ja tęsknię, lecz oczekuję cierpliwie

Na te słowa oczy Heleny ciemniały, ale milczała, a jej twarz dziecinna stawała się nieczytelną, jak posąg marmurowy. Nie zwierzała się również przed Sybilą Andrew, chociaż była jej wielką przyjaciółką.

Ale pewnej nocy zdradził ją własny sen.

— Mamo okrutna, dlaczego odjechałaś? — szeptała. — Czyż matki powinny opuszczać swe dzieci, jeżeli one je tak kochają, jak ja ciebie kocham?...

Sybila przestraszyła się tej miłości tak głębokiej i tak niepodobnej do miłości dzieci innych.

— Boże mój! — szeptała przerażona — ależ ona może umrzeć z rozpaczy!...

Następnego dnia oświadczyła jej, iż otrzymała list od hrabiny de Rochebelle.

— Cóż mama pisze o powrocie? — zapytała, blednąc.

— Pisze, że może wróci niedługo, ale napewno nie wie kiedy. W każdym razie rachuje, że cierpliwie będziecie oczekiwały jej powrotu.

— Cierpliwie — szepnęło zrozpaczone dziecko, domyślając się z tych słów nowej zwłoki — albo cierpliwość zależy od woli?

— Z pewnością, zależy od niej. Powinnaś pamiętać, że w życiu należy to czynić, co potrzeba.

— A jeżeli nie można?

— Należy zmusić się.

Helena westchnęła.

Sybila wzięła ją na kolana.

— Znam dobrze twoją matkę i kocham ją jak siostrę. Nic w świecie nie mogłoby jej sprawić większej boleści, jak myśl, że nie możesz zapanować nad sobą i z cierpliwością oczekiwać jej powrotu. Wiesz przecie, że musiała wyjechać. Ja jedna tylko, która znam jej przywiązanie do was, mogę zrozumieć ile ją kosztowało rozstanie się z wami.

— Więc dlaczegóż odjechała?

— Bo musiała towarzyszyć ojcu. Helenko droga, ty mówisz, że ją kochasz, ale pomyśl tylko o jej rozpaczy, gdyby dowiedziała się jak mało posiadasz woli i odwagi... Wiesz, jak wątłe jej zdrowie, więc pomyśl, co stałby się z nią, gdyby po powrocie, wyczerpana tak długą i nużącą podróżą zastała cię tak bladą i osłabioną? Nie przeżyłaby tego... I to tylko z twojej winy...

Dziewczynka rzuciła się jej na szyję.

— Niech pani o tem nie pisze mamusi — zawołała, płacząc. — Pani ma słuszność: to bardzo źle z mej strony. Będę już odtąd odważniejszą.

I rzeczywiście, od tego dnia z energią, prawie niemożliwą w jej wieku, otrząsnęła się z rozpaczy, zaczęła interesować się wszystkiem, co ją otaczało, dzieliła hałaśliwe rozrywki swej siostry, pracowała, biegała, stała się mowniejszą i zwierzała się ze swych wrażeń. Ale z jakiemże wzruszeniem, mimo to wszystko, rachowała dni, pozostające do wyznaczonego nareszcie terminu powrotu matki!

I oto powrót ten nastąpił o całą dobę naprzód.

Gdy usłyszała słowa siostry, powiadamiające o przybyciu matki, myślała, że umrze...

Mama!... ta istota przez nią ubóstwiana, tak wyczekiwana, tak zawsze obecna w myślach od dni najdawniejszych, w których widziała ją pochyloną nad swą kołyską... Mama!... której pocałunki czuła jeszcze na swej twarzy, a w uszach słyszała łagodne, serdeczne słowa miłości... Mama! jej własna mama, dobra, z tęsknoty do której o mało nie umarła, jak zamierają biedne kwiatki wodne nad brzegiem wyschniętego strumienia.

I stała w progu, wpatrzona, chłodna, nieruchoma, tłumiąc ręką uderzenia serca, prawie rozsadzające jej wątłe piersi. Cała jej istota wyrywała się do tej matki ukochanej, drżała i z trudnością utrzymywała się na nogach.

Nakoniec wyprostowała się i pchnięta, prawie uniesiona przez Sybilę, weszła do salonu.

Lecz tymczasem, gdy miss Andrew, uszczęśliwiona, padła w otwarte ramiona Nadiny, gdy hrabina pokrywając ją pocałunkami, mówiła:

— Droga siostro moja, dziękuję ci za troskliwość i opiekę nad memi córkami...

Helena, stojąca o kilka kroków, z szeroko rozwartemi oczyma, drżącemi i blademi usty, spoglądała wzruszona na hrabinę.

— Cóż, Helenko — odezwała się łagodnym głosem hrabina — nie masz ochoty uścisnąć twej mamy?

Słowa te wyrwały ją ze stanu hypnotycznego. Postąpiła parę kroków naprzód i tonem stanowczym odrzekła:

— Pani nie jesteś moją mamą!

Teresa krzyknęła i rzuciła się ku niej.

— Heleno! — zawołała — ależ ty chyba zwaryowałaś!...

I zwróciwszy się do hrabiny, dodała:

— Mamusiu! daruj jej. Ach, mój Boże, ona straciła zmysły! To z nadmiaru szczęścia. Ach, gdybyś wiedziała, mateczko, ile ona wycierpiała z powodu twej nieobecności!... O mało nie umarła!...

Objęła ramionami jej szyję i całując ją, powtarzała:

— Helenko, Helenko droga, to nasza mama!...

— Nie — odrzekła dziewczynka — to nie ona!...

Pani de Rochebelle skamieniała. Zbladła, zacisnęła usta i nie mogła wymówić słowa.

Miss Andrew, otrząsnąwszy się z pierwszego zdumienia, pociągnęła Helenkę ku sobie, zaczęła ją pieścić i przekonywać, że się myli.

Hrabina, z początku szydercza i pogardliwa, powstrzymała się przecież od wypowiedzenia cisnących się na jej usta słów, które, sądząc z wyrazu oczu, nie byłyby zapewne czułemi. Ale powoli ten wyraz gniewu znikał z jej twarzy, ustępując miejsca niewymownemu smutkowi, prawie rozpaczy. Nakoniec ukryła twarz w dłonie i wybuchnęła płaczem.

— Ach, Krystynie! — zawołała wśród spazmatycznych wstrząśnień i łkania — moja córka nie poznaje mnie. Musiałam rozstać się z nią, by odjechać z tobą, boś tak nakazywał mi obowiązek... Tymczasem Bóg ukarał mię tak surowo!...

Tymczasem Helena, pomimo pieszczot Teresy i przekonywań Sybili, drżąca i oburzona, powtarzała:

— Nie jestem waryatką i wiem, co mówię. To nie mama!... to nie ona!...

Krystyn, do którego Nadina, zarzuciwszy ramiona na jego szyję, mówiła coś po cichu, odjął jej ręce i poszedł do dzieci. Był blady jak trup i rysy miał zmienione.

Siadł na fotelu obok Sybili i gwałtownym ruchem pociągnął ku sobie zbuntowane dziecko.

— Heleno! — rzekł głosem drżącym, usiłując napróżno nadać mu ton rozkazujący — więc i ja może nie jestem twoim ojcem?

— Ach, przeciwnie, jesteś moim tatusiem!

— Więc dla czego nic nie mówisz do mnie?

— Dla tego, że...

Helena namarszczyła czoło; widocznie myślała o czemś poważnem, jasno sformułowanem w jej umyśle dziecinnym i być może, pragnęła wypowiedzieć to głośno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Bielsku. — Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.